

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Hobbicy

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 26 MAJA 1928 ROKU

NR 22

TREŚĆ NUMERU: Zmora młodości — *Dr. Herminja Naglerowa*. Zanim kłamka zapadnie — *M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „Biała godzina”, „Przedwiośnie i dziewczynka”, „Pogoda”, „Bliźni” — *Bronisława Ostrowska*. Kryształowa kula — *Max Wit*. Dziewczynka - Mandarynka — *Dziewanna Lipkówna*. Listy z Paryża — *J. Putiatycz - Surynowa*. Na progu niewiadomego — *Stefanja Podhorska - Okołów*. Z życia ekranu — *Stef. H.* Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu — *Z. M. i J. K.* Wykształcenie zawodowe kobiet — *Wanda Borudzka*. O polskość naszych wnętrz — *Marja Morozowicz-Szczepkowska*. Angielska sobota — *Han. Skar.* Róża — *J. S.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Dodatek „Mody i roboty”: Bluzki — *Well*. Dodatek powieściowy: „Bursztynowa księżniczka” (dok.) — *George F. Worts* — tłum. z angielskiego *W. M.* „Polowanie” — *Tefft* — autoryzowany przekład z rosyjskiego *Z. M.* Arkusz wzorów.

ZMORA MŁODOŚCI

Co roku o tej właśnie porze, gdy nasza spóźniona wiosna zieleni się wreszcie i kwitnie, setki młodzięży płci obojga przeżywają przedziwne nastroje, które pospolicie nazywamy trema. Niby to nic: trema przed egzaminem dojrzałości. Ale, czem jest taka trema, przypominamy sobie dopiero później, może dopiero po latach, gdy nawiedzi nas powrotny sen o maturze, albo, gdy ktoś bliski właśnie „zdaje”.

Wtedy — trochę pobłażliwie, choć współczująco, mówi się o tej maturze, o nauczycielach, tematach, o małych, sprytnych oszukaństwach, szczęściu i niezczęściu figlach, przypadku i t. p. Pro prostu buffonuje się:

— Ho, ho, gdy ja zdawałem (łam) maturę!

A tymczasem ci (te), którzy grzebią się w książkach, aby podołać uprawnieniom rzymskich trybunów, walce o inwestyturę i wojnie krymskiej, którzy usiłują podźwignąć ciężki toboł form algebraicznych i prawideł geometrycznych — mają w sercu i głowie obłęd chaosu i potworność lęku: „Nic już nie umiem, nic już nie pamiętam”!

A tu właśnie trzeba wszystko umieć i wszystko pamiętać, bo i szczegóły i całokształt; trzeba ponadto być inteligentnym, wykazać odczytanie, przysięgać na wielkość Reja z Nagłowic, uwielbiać mistycyzm Kraśńskiego, udowodnić pozytywizm Prusa, z Wyspiańskim być za pan brat, ody Horacego klepać napamięć, wycisnąć, co się da, z Owidjusza, pisać uczone traktaty o zagadnieniu morza, rozwijać jakiś cytat, rozumnie przeprowadzić zadanie dyskusyjne, wyrazić się świetnie po francusku, lub po niemiecku...

Oczywiście, przez osiem lat, licząc tylko szkołę średnią, czerpało się „z krynicy wiedzy”, więc ostatecznie trzeba jakoś zdać sprawę z nabytych wiadomości, wykazać przygotowanie do wyższej uczelni. Któżby temu zaprzeczał, że po ośmiu latach powinno się mieć jako tako umeblowaną głowę! Do tej sprawy wrócę jeszcze w tym artykule, narazie jednak obchodzi mnie owa trema, lęk, który, jak drapieźny, zły zwierz, rozszarpuje nerwy, dewastując je na długo, czasem — nazawsze.

Każdy, kto zdawał maturę, przeszedł ten chorobliwy wstrząs tak silnie, że go potem bodaj do końca życia przesładuje w zmorze sennej. Należałoby tu może sięgnąć do metod psychoanalitycznych, aby wydobyć na jaw podświadomie trwający lęk, nigdy już niewyzbyty, jak trucizna nieuleczalnej choroby.

Bo chociaż po egzaminie dojrzałości idzie często długi łańcuch egzaminów teoretycznych i życiowych, niemniej zapewne ważnych, rozstrzygających i przełomowych — to jednak nic nie zostawia tak boleśnie trwałego śladu w psychice, jak ten jeden jedyny egzamin dojrzałości. Jest to tem dziwniejsze, że uczeń przyzwyczajony jest codziennie „odpowiadać”, czyli, że codziennie przez osiem lat narażany jest na niespodzianki egzaminacyjne. Widocznie więc sam nastrój, ceremonjał, tradycyjna panika i to niemal Hamletowskie: być, albo nie być — tak oddziaływa, że młodzi męczennicy nie potrafią zachować równowagi nerwów. Przez szereg tygodni, poprzedzających egzaminową egzekucję, żyją jakby w chorobliwej malignie: O co zapytają, gdzie zahaczą? — Podobne

uczucia musiał kiedyś przeżywać chory przed ciężką operacją, gdy jeszcze nie znieczulano i nie usypiano pacjentów, idących pod nóż chirurgiczny, gdy więc ból musiał być wyczuły, wykosztowany do cna.

Wiem, że pisząc o maturze, jako o ciężkiem przejściu psychicznym, wywalam drzwi otwarte. Jest to, bowiem, kwestja od wielu, wielu lat omawiana i dyskutowana przez fachowych pedagogów, lekarzy i przyjaciół młodzieży. W rezultacie wywalczono już tyle, że dzisiejszy egzamin dojrzałości może się wydać zabawką tym, którym nie darowano ani jednego przedmiotu, ani jednego wypracowania. Niewątpliwie dziś jest—łatwiej i uczeń ma nawet prawo wybierać spośród poszczególnych przedmiotów, t. zw. pokrewnych, więc: albo historia, albo polski — albo fizyka, albo matematyka, — albo łacina, albo obcy język nowożytny. Dobry stopień z wypracowania zwalnia z egzaminu ustnego w tym przedmiocie. Ulg więc wprowadzono sporo, uznając konieczność reform tam, gdzie należałoby uczynić więcej—bo znieść egzamin dojrzałości.

Już to jedno, że „przedegzaminowa trema“ jest dla młodych organizmów bezwzględnie szkodliwa, wystarczałoby, aby raz wreszcie odważyć się na usunięcie tej zmy, jaką jest egzamin maturalny. Ale znajdują się i inne argumenty, bardziej uchwytnie, które wykazują bezcelowość tego przestarzałego ceremonjału. Każdy pedagog wie przecie z doświadczenia, że często najlepsi uczniowie „wsypują się“ przy egzaminach maturalnych, podczas gdy uczeń słaby, nad którym długo debatowała rada pedagogiczna, czy wogóle dopuścić go do egzaminu,—zdaje świetnie, niemal imponuje trafnością odpowiedzi i zasobem wiadomości. Wynik egzaminu zależy więc często od opanowania nerwów, albo od przypadku. Niby w grze hazardowej, w której nie rozstrzygają ani logiczne obliczenia, ani żadne systemy.

O wiadomościach ucznia nie wyrokuje przeto egzamin dojrzałości i temsamem nie może ten egzamin uprawniać do dalszych studjów, ani być patentem dojrzałości umysłowej. Od szeregu lat słyszymy przecie, że profesorowie wyższych uczelni uzalają się na niski poziom swoich słuchaczy. I tak jest wistocie. Wina spada na szkoły średnie, gdzie znowu nauczycielstwo ze swej strony biada nad poziomem uczniów i w swojej bezradności sięga do coraz innych eksperymentów metodycznych, aby złu zaradzić. Niemniej też słyszymy utyskiwania rodziców, że młodzież w szkołach średnich jest przeciążona pracą. Nie chcę tu rozważać istotnych przyczyn tego niemal powszechnego niezadowolenia, gdyż pragnę w tym artykule ograniczyć się jedynie do kwestji egzaminu dojrzałości i w miarę możności wyodrębnić ją z całego kompleksu zagadnień, dotyczących naszego średniego szkolnictwa. Twierdzę więc kategorycznie, że egzamin dojrzałości niczem nie przyczynia się do podniesienia po-

ziomu ucznia, który przez osiem lat nie potrafił podciągnąć swego poziomu do wymogów wyższych uczelni. Przeciwnie: uczeń, posiadający zdolności np. matematyczne, musi, nawet w szkole o programie przyrodniczo - matematycznym, uczyć się specjalnie do matury—przypuśćmy—historji, albo niemieckiego, więc przedmiotów, których nie lubi, albo do których nie ma zdolności. Potem okazuje się, że na politechnice, czy na uniwersytecie jego zasób wiadomości matematycznych jest bardzo ubogi, bo właśnie przez cały rok w ósmej klasie musiał zaniedbywać matematykę, aby nie przepaść przy maturze z historji.

Byłoby więc o wiele racjonalniej, gdyby materiał, przepisany programem dla szkół średnich, pomieścić w siedmiu latach, poczem ci uczniowie, którzyby mieli zamiar poświęcić się wyższym studjom, mogliby użyć ósmy rok pracy w szkole średniej na pogłębianie, na dokładniejsze i obszerniejsze poznanie przedmiotu, do którego mają zamiłowanie i któremu poświęcą się bądź to naukowo, bądź zawodowo. Natomiast świadectwo z siedmiu klas szkoły średniej wystarczałoby dla tych, którzy nie mają ambicji uniwersyteckich. O ile wiem, istnieje podobny system w niektórych kategorjach szkół średnich we Francji. Rok pracy przygotowawczej, pewnego rodzaju specjalizowanie się przed rozpoczęciem wyższych studjów—podniosłoby niezawodnie poziom ucznia, a nasze Akademje nie musiałyby przystosowywać się do poziomu niedouczonych słuchaczy.

Może zresztą wrócimy kiedyś do dawnego ustroju szkolnictwa, kiedy to Alma Mater była ściśle związana ze wszystkimi stopniami szkół, a jednolitość programów dawała równość poziomu i ciągłość zorganizowanej pracy. Widzimy już dziś jak gdyby lekkie próby w kierunku łączenia typów szkół: mianowicie szkół powszechnych ze szkołami średnimi — skoro uczniowie po ukończeniu szkoły powszechnej mogą być przyjęci od razu do klasy czwartej w szkole średniej.

Egzamin dojrzałości, który ma być tym mostem między szkołą średnią, a wyższą uczelnią, już dawno przestał spełniać swoje zadanie, a raczej nie spełniał nigdy żadnego zadania. Jedynym, zapewne, rezultatem egzaminu dojrzałości jest wyczerpanie fizyczne młodzieży, jest wstrząs nerwowy i wreszcie powierzchowne, bezładne „obkucie się“. Corocznie opuszczają szkoły średnie setki młodzieży wprawdzie z „patentem“ dojrzałości, ale i z zaczątkiem wszelakich niedomagań, zwłaszcza nerwowych. Pomijam tu ponadto nastrój szkół w okresie maturalnym i to, że nauczycielstwo także przeżywa nerwami maturę.

Rok rocznie o tej porze pisze się i mówi wiele w tej materji pro i contra. Może nawet więcej i dosadniej — contra. Dodaję więc i mój głos do chóru z tem przeświadczeniem, że przeciwnicy maturalnych katuszy osiągną ostatecznie zwycięstwo. Trzeba cierpliwie walić taranami o mur. Bo przecie wśród

wszystkich argumentów, przemawiających za utrzymaniem egzaminu dojrzałości, ani jeden nie wytrzymuje krytyki, ani jeden nie jest tak ważny, aby należało narażać młodzież na bezpotrzebny lęk i rozpaczliwy wysiłek. Egzamin dojrzałości jest prosto jednym ze złych nawyków, jednym z okrucieństw minionych wieków. Popatrzmy na to dzisiejszymi oczyma: czyż nie jest matura takim samym stępieniem mózgów, jak wierszowana gramatyka Alvara, takim

samym barbarzyństwem, jak różeczka, którą ćwiczą dzieci, podszywając się pod nakaz Ducha Bożego?

Mówiła mi pewna matka, której córka zdaje w tym roku maturę:—Będę chyba musiała dziewczynę wysłać do sanatorium po maturze! — Wistocie—większość naszej „dojrzałej“ młodzieży to chorzy, to już neurastenicy. A przecie nie każdy może swoich synów i swoje córki wysłać do sanatorjów!

Dr. Herminja Naglerowa.

M. H. SZPYRKÓWNA

ZANIM KLAMKA ZAPADNIE

Salon, czy kominę?

Zatracamy umiejętność intelektualnego obcowania.

Zatracamy ją w sposób przykry. Nie zastępujemy innemi formami, tylko na miejsce jej pozwalamy się wciskać próżni. Pozwalamy, niejako, pustoszyć uprawnym niegdyś polacom współobcowania naszego z ludźmi i ludzi — z nami. Salon pani de Récamier odszedł od nas tak daleko, że nie wiem, czy najwytworniejsze damy naszej stolicy umiałyby podjąć nic przerwanej w nim przed wiekami rozmowy towarzyskiej, która umiała połączyć tak rozbieżne dziś pierwiastki: i wiedzę, i politykę, i zagadnienia społeczne, i flirt, i lekkość, i sztukę, i dyplomację. Podjąć, oczywiście, nie rażąc nikogo z obecnych — bo i dziś umiemy mówić o polityce, argumentując swoje opinie w sposób, który komuś, o poglądach przeciwnych, napędza gęsią skórę, jak zgrzytanie po szkle, i na długo wypłoszy z naszego lub cudzego, gdzie my bywamy, salonu. My także dziś potrafimy puszczać wszystko „Kantem” i filozofować o Ni...etschem!... Ale istotny wykwint rozmowy i obcowania z ludźmi różnych przekonań, bez zdraśnięcia ich osobistego — jest to bodaj sztuka przeszłości, której powinniśmy się nauczyć od nowa, — odpomnieć — jak mówi Norwid. Bo przez długie lata, ba! przez wieki, byliśmy tej sztuki pięknej — naprawdę pięknej! pozbawieni. I skądżebyśmy ją wobec tego posiadać mogli?

Jest jeszcze coś gorszego. Mianowicie: nie widać, żeby ta umiejętność towarzyskiego obcowania wogóle, tego „salonu” — miała się odrodzić, bo niema potemu warunków. Życie towarzyskie poszło innemi łożyskami. Poszło na dancing. Obecnie teraz ze sobą pod dźwięki jazz-bandu (mnóstwo osób nie pamięta, że słowo to wymawia się raczej, jako džazz-bend, nie zaś w polskiej pisowni) i konwersuje tylko w krótkich możliwościach pomiędzy antraktami ...stonów i ...stepów. Nie ma wtedy wiele sobie do powiedzenia — to

trudno! A jeśli ma — to zapewne nie o polityce, ani o problemach ogólnoludzkich. Dotyk, dotąd raczej spychany na miejsce drugorzędnych zmysłów, stanowczo bierze dziś odwet za długowieczne uposledzenie. Jeżeli dalej tak pójdzie, to za małe tysiąclecie wyrosną rodzajowi ludzkiemu czułki, jak żukom, do dokładnego badania przedmiotu, ewentualnie — istoty, z którą wchodzi w kontakt; tembardziej, że kontakt ów nieraz jest tak bliski, że oczy już nie mogą nawet chwycić całości obrazu — jakkolwiek dotyk widzi bardzo wiele. I gdzież tu miejsce na obcowanie intelektualne?! Nie zostaje go nieraz nawet na owe przepisowe sześć cali, które policjant w Ameryce odmierza w razach podejrzanych urzędową laseczką pomiędzy tańczącymi po trzeciorzędnych dancin-gach parami, aby sprawdzić, czy są w porządku z prawem.

A jest i inny szkopał.

Nasze mieszkania i nasze uposażenia.

Przyjmować trzeba — gdzieś. Przyjmując, trzeba podać — coś. I to gdzieś i coś musi wyglądać — nieprawdą? — jakoś...

Czytam nieraz gospodarskie przepisy Pani Elżbiety, które zresztą bardzo lubię (powinnabym napisać: k t ó r ą, zresztą, bardzo lubię i cenię). Nie poszczególne przepisy, tylko jakieś rady co do kolacyj proszonych, obiadów uroczystych, fajfów i śniadań. I bywam, zresztą, sama od czasu do czasu na przyjęciach, z tego czy innego uroczystego wypadku świętowanych. I zawsze myślę sobie: — Boże! ileż trudu, zachodu, kłopotów i udręki dla gospodyni, w tym celu, aby gości przeważnie... nakarmić. Przeważnie tylko nakarmić, i czasem jeszcze potaćzyć! Rzymianie byli chytry: wiedzieli dobrze, że nakarmianie się jest właśnie tematem zasadniczym zgromadzeń towarzyskich, które wtedy zresztą i nazywano wyraźnie: ucztami — i odrazu instalowali się na łożach. Nie mam pojęcia, jak umieli

się urządzić, żeby leżąc, czy wpołleżąc, wygodnie mogli jeść, ale widocznie jakoś już sobie radzili. Właściwie, o ile się nie tańczy, to i po naszych ucztach w gościu dominuje jedno ciche pragnienie: żeby tak móc się położyć i zdrzemnąć! Przekąski, wina, piwa, likiery, pieczenie, drób, majonezy i smakołyki walczą ze sobą w ciasnym pomieszczeniu wewnętrznym, jakim jest tak mile zwany przez dzieci „żadołek“ — i domaga się spokoju, aby móc każdemu dać właściwe miejsce. I jakaż tu konwersacja, polityka, madame de Récamier?!

Zagranicą domowy salon także upada. Zaczął nawet upadać dawniej, niż u nas. W pismach coraz to czyta się wzmianki, że pan i pani X, z powodu imienin córki swej Ygreczki, przyjmują przyjaciół w salonach hotelu Claridge. Przyjmują w takichże salonach z powodu jej pełnoletności, zaręczyn, zaślubin i wszelkich wogóle znamienych wypadków życia, wyłączwszy jedynie pogrzeby. Sposób ten ma mnóstwo plusów: przyjęcie hotelowe zapewnia doskonałą obsługę, dostateczne ilości zmian sztuców i nakryć, niekłopotliwego metr d'hotela, który wszystko zaaranżuje, reprezentacyjne pomieszczenie. Minus ma tylko jeden, ale zato kardynalny: ogromny koszt. Ergo:—dla większości i ten sposób u nas odpada. Czasem zdarza się to i w Warszawie; muszę wyznać, że zamało, bo bezwzględnie ten sposób przyjmowania jest dla gości najmniej krępujący i najłatwiejszy: przyjście bez określonej ściśle minuty, wyjście bez zwracania uwagi i przegląd powszechny niezmiernie ułatwiony, a nieobowiązujący do osobistego zetknięcia z nikim niemiłym przekonaniowo, czy inaczej. Nie czuje się tam cichej troski gospodarskiej, której najuprzejmniejszy uśmiech i najłżejsza konwersacja nie pokryje. Ale zapewne nie mamy jeszcze dość odpowiednich po temu salonów publicznych, bo zbiorowe przyjęcia po hotelach obejmują zazwyczaj tylko towarzystwa męskie — jakieś zjazdy, rocznice, jubileusze i inne triumfalne okazje. Do zwykłych imienin, czy sobótek jeszcze nie doszło. A tymczasem lokale prywatne nie rozszerzają już bynajmniej ścian sposobem staropolskim: nie mogą, biedactwa, tego uczynić, nawet przy najlepszych chęciach, bo teraz za każdą nieomal ścianą mieszka lokator, który nie chce się wyprowadzić, lub lokatorka, którą niezawsze można na ten czas zamordować. Zostaje tedy własny, o ile jest! — salon, takoważ jadalnia, takoweż dodatkowe buduariki i obsługa swego chowu, z wszelkimi przyległemi do niej troskami i brakami. I budżet, nieprzewidujący zbyt ekspansywnej gościnności.

Więc — cóż?

Czy mamy zerwać stosunki z ludźmi zupełnie, skoro na hotele nas nie stać, a w domu jest koszt, kło-

pot i niewygoda?

Nie. Myślę — zdaje mi się... że trzeba zrobić co innego — zreformować z innego stanowiska naszą szeroką gościnność. Że każda pani domu, każda inteligentna kobieta powinna pod tym względem zająć się ważnym problemem: zrobić selekcję. Wybór.

Mam wrażenie, że, mając uszczuplone ramy, powinniśmy istotnie usegregować sobie ludzi, którzy napełniają nasze dni przyjęć, proszone kolacje, czy inne imieniny. Że mając do wyboru tłum do nakarmienia, a kilku bodaj tylko ludzi, którzy nam samym dać mogą strawę intelektualną, moralną, duchową — którzy dla nas są istotnie czemś — że musimy wybrać ich — i przy nich pozostać w zgromadzeniach, jakie urządzamy w domu. U siebie. Że ludzie ci muszą stanowić małe, ale istotnie zharmonizowane pod tym względem kółko, że punktem ciężkości nie powinno być przy ich podejmowaniu zagadnienie indyka, czy tualety każdej z obecnych pań. Rzecz prosta, że miłych ludzi zawsze się chętnie przyjmie czemś odświętnem. Jednak granica ta została u nas ciężko naruszona na korzyść żołądka, a na ujmę ducha. Nie mam ścisłych wiadomości, co jadano, czy pito po wielkich salonach intelektualnych Francji, ale jestem zgóry pewna, że były to raczej jakieś nikłe wytworkostki przy kieliszku wina, niż uczyty rzymskie. Kto lubi, może i chce gości karmić, powinien takie małe kółko zapraszać co czas jakiś na obiad — nie przekraczający sześciu — ośmiu osób. Kto lubi intelektualną i celową wymianę zdań, z których ścierania się wynika jaśniejsza orjentacja dyskutujących — ten powinien mieć u siebie niewielkie również grono istotnie wartościowych pod jakimkolwiek względem ludzi, tem miłszych, im bardziej ze sobą się różnią — co wcale nie jest identyczne z dysharmonją. Wielki salon zeszlowieczny ustępuje dziś bezwzględnie miejsca wielkiemu dancingowi, czy sali restauracyjnej — ale nie narusza w niczem małego salonu. Tylko, że małość jego i zacieśnienie musi stać w odwrotnym stosunku do szerokości widnokręgów i wielkości ducha, czy umysłu jego bywalców. Wtedy stwarza ośrodek kulturalny i intelektualny, staje się zżyłą grupą ludzi, którzy wypracowują w ścieraniu się zdań, poglądów i zwłaszcza — wiadomości, przez każdego poszczególnie nabywanych: pewien poziom, wspólny kulturalnem podniesieniem, jakkolwiek różny indywidualnie — który, jak ognisko, promieniuje nazewnątrz i przyciąga niewtajemniczonych magnetyzmem treści, jaka się za nim wyczuwa. Mniej indyka, nadzianego troskami miłych, zresztą, gospodarzy, a więcej obcowania wzajemnego na szerokich, ciekawych i niewyzyskanych nieraz u naszych gości płaszczyznach ich dorobku wewnętrznego — oto rola kobiety i pani domu na dziś.



BRONISŁAWA OSTROWSKA

BIAŁA GODZINA

I

Zszarzały klombów płomienne rabaty,
Zgasł żar nasturcji i szkarletów krew,
I nagle widać tylko białe kwiaty
Pod ścianą mrocznych drzew.

Gwiazdy zabłysły w gałęziach topoli.
W białych tytoniach krążą szare ćmy.
Pamięć nie boli i życie nie boli...
Srebrne są kwiaty, i gwiazdy, i łązy.

PRZEDWIOŚNIE I DZIEWCZYŃKA

Kiedy błysnie pierwsze słońce marcowe,
Wtedy mówi: — „Już nie będzie śniegu!”
Podnosi radośnie głowę
I ma ochotę do biegu.

Chce biec, chce fruwać na wzór polnego świerszcza,
Odbijając się leciutko od ziemi,
W roju dziewcząt, nad łąkami mokreńi,
I koniecznie, koniecznie być pierwsza.

Być tak pierwsza, jak pierwsze słońce wiosenne,
Jak na wierzbach pierwsze srebrzyste kotki.
Mijać niebo w roztopach bezdenne...
Ach! musi zdjąć już raz te ciężkie, zimowe botki!

POGODA

Różowe malwy, różowe zorze
I zboże — pożęte, bogate zboże.
Łagodne grody świętej pogody,
Stery płowe, bursztynowe, miodowe.
Zabłysła pierwsza gwiazda w różowym niebie,
Granie świerszczy malw zadumą kolebie.
Gną się wiotkie kolumny różowego uśmiechu
W skwarnej ziemi wiecznym oddechu.
Nad zaskłuchanym łąnem wstaje pełnia księżycy,
Idzie w malwach cisza przodownica.
— W bladej słomy kopice, w grody świętej pogody,
W serca różowe ogrody — w zorze, zboże i miody.

BLIŹNI

Czasem, kiedy obwożę tramwajem
Moją pustkę powszedniego dnia,
Zobaczę nagle oczy, ludzkie oczy
Smutne i mądre — bez dna.

Zobaczę nagle ust zagięcie bolesne,
Załamane spracowanych rąk,
Bezład ciężki, jak szaruga jesienna,
Uśmiech dobry, jak wiosenny pęk.

I coś nagle się zrodzi, coś błysnie,
Coś zapiekłą pustką użyźni, —
I gład martwy z piersi się stoczy
W żywym westchnieniu —

mój Boże, bliźni.

W chwili zamykania numeru otrzymaliśmy wiadomość o śmierci znakomitej poetki, s. p. Bronisławy Ostrowskiej w Krakowie, której utwory zamieszczamy powyżej. W jednym z najbliższych numerów damy obszerniejszy artykuł, poświęcony twórczości Zmarłej.

KRYSTAŁOWA KULA

Pamiętała doskonale ten wieczór: słuchała go, niemal przerażona, uwielbienie jej granoczyło z podziwem. Ludzie przecież traktowali go z takim szacunkiem! Sam ojciec powtarzał: — Pomyśl, dziewczyno! co za szczęście: Lister Day! Lister Day! — Tyle pietyzmu i rozrzewnienia było w tych słowach, że czuła się bardziej wzruszona od ojca, gdy te słowa powtarzał, a przecież nie wiedziała wtedy, że Lister zostanie jej mężem. Stało się to tak prędko, niespodziewanie, że zapierało dech na samą myśl o tych wypadkach. Tyle było kobiet w mieście, tyle piękności, każdaby chętnie z zamkniętymi oczami poszła za nim! Tyle blasku i szczęścia — a on wybrał właśnie ją — żadną inną! Zanim zdążyła się opamiętać, oświadczył się ojcu, został przyjęty z otwartymi rękami. Nie sprzeciwiała się woli tych dwóch mężczyzn, nie przyszłoby jej nawet nic podobnego na myśl. Wierzyła wraz z ojcem w swoje szczęście, wierzyła tembardziej, im więcej widziała zawiści i pożądliwej niechęci w świecie swych koleżanek i znajomych. Przyjmowała powinszowania wraz z potężnymi koszami kwiatów Listera, który, raz postanowiwszy się ożenić, dał sobie urlop dwutygodniowy na narzeczeństwo. Był to pierwszy urlop od wielu, wielu lat. Sam Lister podziwiał się więcej, niż kiedykolwiek

Z pogardą patrzył na rosnące pliki gazet i dzienników na swoim stole; z lubością młodzieńczą obijał nierozłączną bokerską piłkę i brał lodowate natryski przed oddaniem się w mądre ręce masażysty. Pęczniące guzy mięśni rozrosłej postaci szły w parze z radosnem, lekkim poczuciem człowieka, oddającego się z całą świeżą, męską siłą i zdrowiem dobrze zasłużonemu wypoczynkowi. Staranie o Lenę przesycało jeszcze dnie nowym, nieznanym elementem zagadnień obcych, delikatnych, częstokroć bardziej powikłanych od konfliktów europejskich, w których spłocie zresztą czuł się o wiele lepiej, niż we mgle uczuć dla kobiety. Jej pełna admiracji słodycz, nieco wystraszone spojrzenie, jakim go przyjęła podczas pierwszej wizyty, wysyciły go ciepłem zupełnie obcym i nowym, dla którego nie miał żadnego terminu w zapasie. Arsenal politycznych wyrażań i zwrotów był nieskończenie ubogi w tej dziedzinie. Każde słowo i myśl miała w tych warunkach sens neologizmu. Pokora Leny, ustepliwość, ułatwiały sytuację i stwarzały okoliczności. Koncentrował je wokół swojej osoby, nazywał to oświetleniem pod właściwym kątem — wciąż w imię prawdy, aby wiedziała, czyją żoną zostaje. Nie chciał, by mogła później, po ślubie, zarzucić mu, że ukrył to i tamto. Owszem, starał się być sobą, bardzo sobą — nawet z pewną przesadą dla akcentu. W swym

tonie i zwrotach miał zawsze rozkaz, wyraźną nutę surowości; w ruchach — kanty i sęki, właściwe jego silnej, energicznej naturze; podkreślał je systematycznie: — nic miękkości! Nie znosił waty w mężczyźnie! Twarda pięść, nieomylny cios, umieszczony we właściwym punkcie — ta podstawa inteligencji bokerskiej stała się bazą jego postępowania.

Pouczał Lenę starannie, że jest ciężkim w poźyciu człowiekiem, o zakorzenionych nawykach, skłonnościach, zwyczajach, których nie zmieni przez małżeństwo. Przyjmowała ten cały system wtajemniczenia, jako wskazany w takich wypadkach i właściwy takim ludziom, jak Lister, o którym wszyscy mówili z podziwem: — O, Lister Day! Lister Day! To nie pierwszy lepszy gryzipturek — chłop, co się zowie! gdyby chciał, zasiadałby w senacie, a może... to człowiek wielkich możliwości! Lister Day! O!! — Otaczał go nimb doskonałości. Czyż mogła ona, zwykła dziewczyna, cokolwiek zmienić, naprostować w tym człowieku?! Mogła tylko być wdzięczna, że ją wybrał z pośród wielu innych, mogła go kochać, jak na to zasługiwał. — Nie potrzebowała się przewycięzać, naginać. Z podziwu i uwielbienia wykluwało się uczucie, niby małe, żółte, nieopierzone piskłę, przecież ledwie wylęgłe — już samodzielne, rozwijające się niezależnie od form otoczenia, po swojemu, na swój sposób — stary, odwieczny, mądry.

Wiecznie świadome, wiecznie kobiece nasuwało jej własne drogi, swoiste wytyczne, w których obliczu rozlatywał się cały system Listera, niby piramida z kart, lecąca za lada podmuchem. Nie należał do tych, którzy załamują w takich wypadkach ręce. Ze zdwojonem zainteresowaniem, z nową energią zabierał się do swojej budowli. Dla postronnego obserwatora mogłoby wyglądać, że Lister opanował Lenę zupełnie, że ugniął ją na kształt zamierzonego. Zresztą, gdyby się ją o to zapytać, zgodziłaby się bez zastrzeżeń. Czyż mogła się opierać takiemu człowiekowi, jak Lister?! A przecież on sam miał pod tym względem najwięcej wątpliwości.

Któregoś wieczoru opowiadał jej o japończykach z okresu wojny rosyjskiej — słuchała z zajęciem, potakiwała i stawiała wiele pytań zachwycająco naiwnych, które tłumaczył z pogodnym uśmiechem, niby małej, głupiutkiej dziewczynce. Bawiło go to i roztkliwiało — był w tej świadomości cały dystans umysłowości wyższej — męskiej, jak to przed sobą komentował. A przecież po chwili stał się małym, drobnym chłopcem. Bo oto spostrzegła, że rozwiązał mu się motyl krawata. Nie przerywając, podniosła się, stanęła przed nim i starannie poczęła wiązać ów wę-

zeł. Umilkł; czuł jej drobne palce na swej piersi; zmarszczka skupienia przecięła czoło nad nosem. Świeciła czynność poważną — zawiązywała krawat... Przypomniawszy sobie odrazu matkę, wiążącą mu pierwszy krawat przy szerokim, białym wykładanym kołnierzu. Był wtedy nieskończenie dumny i wdzięczny za męską ozdobę, darowaną; ale wtedy właśnie ocenił całą wartość troski macierzyńskiej. Zdało mu się, że pomimo krawata, jest małym, bezradnym chłopakiem, w obliczu powagi i wartości tych matczynych zabiegów. To samo uczucie ogarnęło go w tej chwili. Ujął ręce Leny i wtulił usta w małe dłonie. — Jakże słodkie było ich ciepło! Zapragnął, by chwila stała się wiecznością. Podniosła się wtedy na palce i pocałowała go w brodę — wyżej nie dosięgła. Lister porwał dziewczynę na ręce i w radosnym porywie zaczął z nią biegać po całym mieszkaniu. Nie wyrwała się, tylko przytuliła silnie do piersi i zamknęła oczy. Przeżyli najpiękniejszy wieczór narzeczeństwa. Nie było go w programie zamierzeń Listera: stworzył okoliczność całkiem nową, swoistą. Lister zląkł się nawet uczucia; uważał, że nie będzie mu z niem do twarzy — jakieś sprzeniewierzenie się sobie, jakowyś błąd. Budził się żal do Leny — za co, dlaczego — nie zdawał sobie sprawy. O to, że wciągnęła go w orbitę swego uczucia, swych uniesień, że narzuciła mu nową formę, której nie przewidział.

To pierwsze zbliżenie zbudziło mężczyznę i kobietę. Dwie silne, zdrowe natury szły ku sobie poprzez zapory teoryj, motywów i zastrzeżeń. Zatriumfowała miłość, a z nią — kobieta.

Ostatnie dni przed ślubem były jej, niezaprzeczenie jej własnością. W jakiś cudowny sposób narzuciła je Listerowi, wciągnęła go w swój świat marzeń, tęsknot dziewczycy, niezróznicowanych, płynnych i nieuchwytnych, na które Lister próbował patrzeć z pobłażliwością starszego, rozumnego pana, udającego wielkie zainteresowanie dla lalek, kuchni i szmatek małej, kochanej dziewczynki; życie nie wysączyło zeń całej młodości: krył się w zakamarkach jakiś płomyk romantycznych uniesień, buchający tu i owdzie silniejszym światłem. Lena, jak wróżka, nieciła wokół niego wciąż nowe iskry, zapalała go niemi wbrew woli — brała go: ze zdobywcy stał się zdobywcą. Narzuciła mu nieznacznie wiele drobnostek pozornych, a przecież ważnych w świetle nawyków i przyzwyczajzeń. Zmieniła jego solidny sposób ubierania się, podsunęła barwę i sposób wiązania krawata, zmieniła chusteczkę w bocznej kieszeni, dewizkę od zegarka, a nawet zdecydowała o kolorze skarpetek. Lister usiłował się bronić, przywoływał na pomoc tradycje lat ubiegłych, ale ostatecznie — drobnostki! Mógł i powinien ustępować w takich rzeczach. Miała gust. Zmiany,

wprowadzone przez nią, podnosiły elegancję, nadawały wiele wytworności. Była w niej przecież krew. Lekceważył sobie wprawdzie wszelką parantele — jednak ocenił krytycznie, sprawiedliwie; przyznawał, że ma subtelniejszy smak artystyczny od niego, zgadzał się z tem i podporządkowywał — nie było rady!

Stało się jasnym, że w ich domu ona potrafi być Panią. Napawało go to dumą i radością. Właśnie poto się ożenił!

Byli szczęśliwi. Wszystko układało się doskonale; ślub miał tylko przypieczerować szczęście ostatnich dni. Lister tonął w radosnym uniesieniu; wierzył, że życie jego stanie się pełniejsze, doskonalsze i lepsze; jeszcze solidniejsze, gatunkowo „cieższe, niż do tychczasowy kawalerski, bądź co bądź bezładny i nieusystematyzowany żywot. Dla Leny małżeństwo było wszystkim: szeroko otwierały się przed nią podwoje przyszłości, jasno patrzyła w nieznane jutro, z ufnością opierała się na silnym ramieniu Listera; kochała go po swojemu i chciała kochać jeszcze bardziej. Zdało się, że nie przeniknęła jeszcze wielkości tego człowieka: wciąż jeszcze był wieżycą niebosięzną, bożyszczem, przed którym ludzie schylają czoła — bożyszczem, które mogła całować, gdy inni za ledwie mogli je podziwiać. Ale wiedziała, że jeśli jest w niej jakoweś kapłaństwo, to kapłaństwo pogańskie, czczące formy — a chciała i szukała treści, chociaż nie umiała by we właściwy sposób wypowiedzieć swej ciekawości. Słyszała i czytała, że ludzie poznają się naprawdę dopiero po małżeństwie, które zdiera wszelki fałsz, maskę, udawanie — wierzyła, że pozna Listera prawdziwego, w całej wielkości, czczonej i szanowanej przez ludzi, przez własnego ojca, któremu wierzyła bez zastrzeżeń; a jeśli się czegoś obawiała, to chyba, że nie potrafi męża tak uwielbiać, jak na to zasługuje.

* * *

Z zapałem zabrali się do urządzania własnego domu. Lister pozostawił całą troskę o szczegóły Lenie; sam porządkował bibliotekę i pracownię; uważał, że w dziedzinie pracy nic się zmienić nie powinno. Otoczenie wywierało przecież specjalny wpływ na niego. Rozmieszczenie książek, papierów, broszur miało od wielu lat określony sens, związany z pożytkiem, wygodą i potrzebą. Wybrał pokój bardzo jasny, z oszkloną ścianą; sufit i podłoga wspierały się na lustrzanej tafli wielkiego okna bez ram środkowych, bez krzyżów, których nie znosił, o zmierzchu bowiem rzucały fałszywe, ponure cienie. Nie cierpiał kaplic, cmentarzy, śmierci. Był to wstręt nadmiernie zdrowego człowieka, wstręt, graniczący z pogardą, rosnący w miarę lat.



DZIEWANNA LIPKOWA

DZIEWCZYŃKA-MANDARYNKA

Kupiłem ją od dziwnej jakiejś staruszki, świecącej z nad straganu przenikliwym spojrzeniem.

Kupiłem ją na jarmarku za 50 groszy i, przyszedłszy do domu, rzuciłem wraz z innymi sprawunkami w kąt kanapy.

Gdy wróciłem wieczorem, siedziała już grzecznie przy stole na środku pokoju i przeglądała albumy z moimi amatorskimi fotografiami.

Oczywiście — nie przyznała się wcale — wiedziałem jednak odrazu bardzo dobrze, że jest tą samą laleczką w nastroszonej czerwonej spódnicy, z wydętymi gumowymi policzkami; laleczką z jarmarcznego straganu.

Zacząła coś opowiadać: że schroniła się przed deszczem... (istotnie padał przed godziną) — drzwi były otwarte... i teraz, żeby nie wyjść niepostrzeżona, jak złodziej, czekała mego powrotu... że mieszka daleko, w willi za miastem...

Słuchałem jednym uchem. Wiedziałem przecież, że to wykręt, a nijako mi było powiedzieć jej to...

Potem, wprawdzie, znacznie potem, przyjaciele moi tłumaczyli mi, że to niepodobieństwo, ale... Dlaczegoż w takim razie nie widziałem nigdy ich obu (żywej i tej mniejszej — gumowej) razem... jednocześnie?... A może wtedy poprostu było zbyt ciemno? Bo mrok zmiażdżył już miękką, ciemno-modrą morę moich mebli...

Wówczas nie przyszło mi na myśl poszukać na kanapie. Potem... może zasunęła się w róg otomany i wpadła w jej głąb?...

Może i tak. Wszystko jedno...

I tak już zapóźno. A kimkolwiek byś była, nie zapomnę cię nigdy, Mandarynko moja, o słodka, mała Mandarynko!.. Ni wdzięku nieopisanego twej krągłej opalonej buzi, ni czarnych ukośnych kresiek oczu, pod ciemnym strusim piórem lśniących włosów, ni twej pomarańczowej jedwabnej sukienki, ni zapachu bez porównań i podobieństw — zapachu ostrej słodyczy.

Obejrzała leżące na biurku moje książki — nieciekawe: matematyczne — i żydowski świecznik na środku pułapu niskiej, bielonej, nawpół wiejskiej izby.

— A teraz ja już pójdę sobie, póki jeszcze jasno...

— Ja przecież odprowadzę panią.

Szliśmy cichą, topolową szosą za miasto, trochę pod górę, może 15 wiorst, może sześć, a może tylko jedną. (Potem dowiedziałem się, że było $1\frac{1}{2}$). W każdym razie przeszło się zbyt szybko.

Ile razy później szedłem tamtędy sam, było zwykle znacznie jakoś dalej i szło się wolniej.

— Jak to znać, że pan poeta... — mówiła z uśmiechem, gryząc w usteczkach białe serki swych drobnych ząbków.

— Bo? ...?

— Nie spytał pan, jak się nazywam...

— Pani! nie jestem bynajmniej poeta, lecz młodszym pomocnikiem zastępcy naczelnego geometry, który robi teraz pomiary waszego miasteczka...

— Ach, — ożywiła się — to moje, moje kochane miasteczko! Co rok tu bywam właśnie podczas jesiennego jarmarku; oddawna już, oddawna... od zawsze...

— Dlaczego? POCO?

Nie chciała już mówić dalej...

W domu tego wieczoru miałem pełną głowę słodkiego obrazu i wcale jakoś nie przyszło mi na myśl poszukać gumowej zabawki. Potem tembardziej zapomniałem o niej. I do dziś dnia nie wiem, czy była jeszcze później tam, na kanapie. A może wzięła ją sobie mała Jadzia-stróżowna?

* * *

Odtąd chodziłem do owej willi za miastem codzień: co wieczór, lub co rano; a czasem i co wieczór i co rano.

Otwierałem furtkę gęstego ogrodu. Szedłem przez szpaler krzaków „białych kulek“ jesiennych (nie wiem, jak się to nazywa). A na pierwszym pięttrze siadałem w głębokim foteliku, krytym oryginalną, lśniącą pomarańczową materją, wyciskaną w kropeczki. Patrzyłem przez otwarty balkon na wszystko, co stamtąd było widać, a czego nie pamiętam, bo była przy mnie pachnąca moja Mandarynka i podawała mi kieliszczek maleńki — jak ona — likieru słodkiego, pomarańczowego i wonnego — jak ona... Ja więc tylko pamiętam!...

* * *

Kiedy skończyliśmy pomiary miasteczka — wyjechałem z Mandarynką daleko stamtąd... Dużo miast i krajów przejechaliśmy razem.

Nie była nigdy zła, ani brzydka, ani kłamliwa. Ale ja wiedziałem, że nie kocham jej tak, jakby należało. To mnie drażniło.

Coś prawie w rok zaczęła płakać i prosić: musi jechać do „swego“ miasteczka!

— Dlaczego musisz?

— Nie powiem, nie mogę, ale muszę!..

Zato ja jechać nie mogłem. Uważałem zresztą to jej żądanie za kaprys i dziwactwo. Jednak nie

bardzo się zdziwił i niebardzo zmartwił, gdy ujrzał wieczorem jej pokoik pusty.

Czekałem długo w noc—ale nie wróciła.

W dwa dni potem udało mi się wyrwać. Natychmiast kurjerem pośpieszyłem tam...

Willa za miastem stała pusta, lecz taka sama, jak przed rokiem, gdyśmy ją opuścili. Białe kulki drgały taksamo na cienkich gałązkach, a listki porzeczek czerwieniły się. Smutno szumiał szpaler szepcącym zszarpanych szarych liści...

Coś zaprowadziło moje nogi do miasteczka, na rynek. Barwne stragany, pełne owoców, wstążek, cukierków, zabawek.. Przekupnie hałaśliwi, natrętni...

Poszły moje nogi—same poszły, jam ich nie kierował—do tego samego straganu, co w roku zeszłym.

Dziwna staruszka z przenikliwym spojrzeniem siwych oczu z pod siwej czupryny—ta sama — sprzedawała właśnie jakiemuś wysokiemu jegomościowi małą lalczkę w pomarańczowej sterczącej spódnicy.

Zanim przepchnąłem się przez tłum, już go nie było. Próżno gonił...

* * *

O Mandarynko! Słodka, miła, wonna, niedobra Mandarynko! Czemuś dała się sprzedać komu innemu?? Czyż nie kochałem ciebie?... I byłbym z pewnością zapłacił za ciebie okrutnej, siwej staruszce tyleż, albo i więcej...

A może... A może, gdybym był wiedział, że jesteś tylko gumową lalczką... nie kochałbym cię wcale?...



J. PUTIATYCZ SURYNOWA

LISTY Z PARYŻA

„DRAMATY NA GARE DU NORD“

Ogromna, oszklona hala dworca Gare du Nord. Huk nieustający przychodzących i odchodzących pociągów. Dziesiątki torów. Tłum ruchliwy, śpieszący się. Turkot wózków bagażowych.

Wśród tego otoczenia z wagonu wysiada chłop polski „ze swojom kobitom i dzieciskami“, albo młoda robotnica, która zajęcia chce szukać, albo kobieta, co do męża jedzie (który w kopalni pracuje)! — Dookoła ludzie obcy, obcą mową gadają. Przerazenie ich ogarnia—„wracać bodajby w oną minutę do kraju“! Ale i tego nie wiedzą, nie umieją, Którędy, jak, gdzie? Co robić?

A tu naraz Książdz jakiś podchodzi do nich. Książdz! Taki samiutki, jak w Polsce: sutanna, kapelus podobniusięni. Zagada ci do nich po polsku! Rzucą się więc do całowania rąk z radością wielką. A on wypyta o wszystko, jak na świętej Spowiedzi, i opiekę obieca.

Albo dwie pięknie ubrane panie podejda. Po polsku do człowieka zagadają i pracę obiecują dać, i nocleg. Takie bogate panie! A z dobroci serca biednym polskim ludem opiekujące się.

Co to za szczęście! Już nie są sami, obcy, jako dzieci niezaradni! więc garną się do nich z ufnością i wdzięcznością bezgraniczną—(Nie wiedząc, że w tej chwili padają ofiarą najgorszych mętów społecznych!)

Czyż to nie dramat? Czyż to nie dramat, kiedy swój swego, brat brata oszukuje?!

Czyż to nie dramat, że Polska Misja Kolejowa musi przestrzegać przed: nadużyciami ze strony wyzyskiwaczy i najróżnorodniejszych podejrzanych typów, najczęściej współrodaków, którzy łatwo u nich zyskują zaufanie. Przed kilkoma jeszcze miesiącami po Gare du Nord snuło się do czterdziestu „bezrobotnych“ polaków, upatrując ofiar na tym głównym punkcie wyjazdów i przyjazdów z Polski. Postępowano planowo, roztropnie, urządzając „polowania“ z obławą, by „zwierzyna“ nie umknęła gdzieś bokiem. A więc: „agenci“ wsiedali na podmiejskich stacjach kolejowych i zawierali znajomości, wskazując noclegi, obiecując pracę i zapraszając na poczęstunki. Część inna „obławy“ otaczała dworzec, przesiadywała w pobliskich kawiarniach, pilnowała wejść do Metro (kolejek podziemnych), mając kontakt z pokojówkami i lokajami sąsiednich hotelików.

Walkę całej tej „szajce“ wypowiedziała „Opieka Polska“ w Paryżu, organizując „Polską Misję Dworcową“ na Gare du Nord i Gare de L'Est.

Delegaci Misji Dworcowej urzędują na dworcach w godzinach największego ruchu pociągów (od godz 10.1 przed południem i 5-10 wieczorem).

Urzędnik Misji (którego poznać można po opasce biało-czerwonej na ramieniu) — to prawdziwy opie-

kun tych wszystkich naiwnych i bezbronnych. Ostrzega ich przede wszystkim przed zawieraniem znajomości i przed grożącym niebezpieczeństwem. Następnie udziela wszelkich informacji, wskazówek, wyznacza noclegi w barakach, zajmuje się wymianą pieniędzy, daje adresy biur i urzędów, a w końcu zamienia się w tragarza, niosącego tłumoczek i koszyki, i w niankę, pilnującą i karmiącą dzieci.

A repatrijanci, ci, którzy wracają do Kraju, ileż oni zawdzięczają „delegatce M. D.“! Bo to, jeżeli mają trochę grosza i trochę bagażu — jakże trudno się z tem dostać do Polski! (Ukraść mogą, nie daj Boże! krwawo przez lata uciulany grosz i tłumoczek!) A Pani Delegatka (młoda panienska, uczy się na Uniwersytecie) kupi bilety, doradzi IV klasę (bo to 100fr. taniej), opowie, kiedy i gdzie mają się przesiąść (aż 5 czy 6 razy, Matko Boska!), wystara się o jakąś tam wizę belgijską i niemiecką, a potem sama bagaż zgrabne porobi — bo jeśli dobrze wyglądają, to choćby ciężkie, a do środka do wagonu przyjmą). Jeżeli nie chcą przyjąć — to wyklóci się ze służbą kolejową, albo uprosi kierownika stacji, żeby przyjął. W najgorszym razie wysła do Zbąszynia bagaż (po 2 fr. 80 ct. za 1 kg.).

A potem ostrzega, żeby papiery, kwity bagażowe jaknajstaranniej przechowywali i mieli zawsze przy sobie, bo zgubienie naraża na stratę czasu i pieniędzy. (Bo to, jeżeliby kwit zgubił, musiałby; 1 — przedstawić dwóch świadków, że to jego bagaż; 2 — opowiedzieć, co miał wewnątrz bagażu; 3 — konsulat musiałby to potwierdzić. Co w najlepszym razie stanowi jeden stracony dzień!)

Dla przykładu Pani opowiada, jak to jednemu ukradli papiery, kiedy wsiadał już do pociągu. Pani Delegatka z nim razem poszła do Komisarjatu spisać protokół. Akurat wtedy pocztę wieczorną roznosił listonosz i przyniósł do Komisarjatu dokumenty i kwity, wrzucone do skrzynki pocztowej przez złodzieja, który przekonał się, że w paczce pieniędzy nie było. Papiery więc właścicielowi zwrócono, i było tyle jeszcze czasu, że mógł zdążyć na pociąg.

„Nie zawsze tak szczęśliwie bywa“ ostrzega Pani Delegatka.

A dzieci w drodze pilnować radzi. Bo to raz przyjeżdżają rodzice do Paryża, a tu dzieciaka niema? Gdzie? Co? W nocy zginął z wagonu — rozpacz! Nadchodzi depesza z Metz, że znaleziono koło toru kolejowego małą dziewczynkę ze złamaną rączką i odwieziono do szpitala.

Wypadło dziecko w drodze z wagonu, w ciemną noc. Wyobraźcie sobie ten dramat dziecięcy!

Ciemno, noc, puste pole, ból w rączce i oddalający się w czerń nocy pociąg z matką i ojcem!..

Jest sama... daleko... daleko od wioski!..

„Więc dzieci pilnować“ radzi Pani Delegatka.

I jeszcze co? Uważać, żeby stacji, gdzie należy przesiąść, nie minąć! I opowiada znów, jak to jedna

kobiecina do męża do Kolonji jechała i zajechała... do Paryża. Noc. Był ktoś z Misji dworcowej na stacji i uprosił obsługę stacyjną, by w III-iej klasie dano jej przenocować, a rano w odpowiedni pociąg wsadzono.

Mogłaby trafić do hoteliku, gdzieby ją okradziono!..

„Więc stacji, gdzie przesiadać się trzeba — nie przegapić“ radzi Pani Delegatka.

Opowiada tak im to wszystko, trzymając się zasady, że najlepiej się uczymy na smutnym cudzem doświadczeniu.

Jeśli uzbiera się dużo ludzi (80 do 150) — najczęściej jesienią, w okresie powrotów z Ameryki — to wystara się dla nich o dostawienie oddzielnego wagonu, który w Liège zmienia,

Najgorzej, gdy wracają tacy, co wymęczeni się, nabiedowali, napłakali i z niczem wracają. Wtedy pani Delegatka kupuje bilety do Kolonji na koszt Konsulatu (140 fr. bilet, wiza i mała zaliczka na jedzenie). Konsulat w Kolonji pokrywa koszt przejazdu do Berlina, a Berlin — dalszą drogę do straży pogranicznej. Zorganizowane to jest celowo, by nie obciążać zbyt wielkimi kosztami jednego Konsulatu, naraża to jednak biedaków na mnóstwo kłopotów i umęczenia.

Po powrocie do kraju Starostwo lub Gmina ściąga stopniowo pieniądze na koszt nieudanej podróży „po złote runo“.

* * *

Misja dworcowa ma na stacji poparcie w „Opiece francuskiej“, w policji i w obsłudze stacyjnej.

W czasie nieobecności delegata policjanci chętnie służą informacjami. Nieraz potrzebna jest silna interwencja policji.

Jak już wspominałam, przed dwoma miesiącami na stacji roilo się od podejrzanych indywiduów. Obecnie niema ich (a przynajmniej — minimum). Delegatka podchodzi śmiało na Gare du Nord do takiego osobnika i pyta się, co tu robi? Kaze sobie pokazać bilet kolejowy. Jeżeli nie umie jasno wytłumaczyć swojej bytności na dworcu — musi iść (bo pani z białą - czerwona przepaską na ramieniu nie żartuje: umie zwrócić się do policji i kazać aresztować!) Dwóch z osławionej „Bandy Władka“ ona policji wskazała!

Rezultat taki, że boją się jej teraz, unikają. Na stacji pusto i... Victorja! Książka statystyczna z ostatniego miesiąca nie wykazała na Gare du Nord ani jednej kradzieży!

Coprawda, przykro czasami wracać późno wieczorem z dworca, gdy się jest śledzoną przez dwóch opryszków, gdy od szeregu dni słyszy się za sobą ich kroki i widzi ich sylwetki w źle oświetlonej, pustej uliczce. Ale i to minęło. I tych dwóch policja ujęła.

Niema już teraz takich dramatów na Gare du Nord, jakich kilka opowiadała mi Pani Delegatka.

On wracał z Ameryki. Dwadzieścia pięć lat zgórą pracował i uciułał 500 dolarów. Na stacji delegatka ostrzegała go, by pieniędzy pilnował, nikomu nie ufał. Śmiał się: przez Ocean przewiózł—to i przez ten kawałek do Polski dowiezie!

Zaznajomił się z rodakiem, ten go do kawiarni na poczęstunek wziął i to samo, co pani, mówił: że ludzi strzec się trzeba, bo na kolejach kradną. Więc... radził kupić jakiś obrazek (on tak zawsze robi), może z wieżą Eiffla? i włożyć pieniądze za obrazek, w ramki. Nikt się nie domyśli i na pieniądze, tak ukryte, nie złakomi. Jak tamten radził, tak ten zrobił. Potem za radę podziękował, pożegnał się i na dworzec wrócił.

Tylko... że zamiast 500 dolarów pod wieżą Eiffla znalazł — starą gazetę

„Tyle lat pracy i tyli grosz!“ — biadał. A kawiarni przypomnieć sobie nie mógł: „Silnie me spił, widać...“

Spisano protokół w Komisarjacie Policji. — Pieniądze się nie znalazły.

A inna historia:

Przyjechała z Polski ładna dziewczyna. Pani Delegatka radziła pracę (Siostry Szarytki z Klasztoru Św. Kazimierza miały dla niej miejsce służącej). Ale na dworcu pojawiła się pani, która doradziła co innego. Mówiła jej: „ładna jesteś, w kinie (mówiła) występować będziesz. Mało pracy, dużo pieniędzy w tem „studio“ mieć będziesz“. Pani Delegatka przez kilka dni radziła swoje, tamta swoje; jak w tej zabawie w „farby“ anioł i djabeł, co kuszą: „śmiej się“ „nie śmiej się“. Ano, wolała „śmiać się“ dziewczyna, gdyż usłuchała pięknie ubranej pani. Napewno teraz „nie jest jej do śmiechu“!

A inna znów dziewczyna pracowała we Francji od trzech lat. Dobrze jej się powodziło, uzbierała i grosza i przydziewku niemało — rower se nawet kupiła! Wyczytała raz w „Gazecie“, że elegancki chłopiec poszukuje „panienki w celach małżeńskich“. Napisała ona do niego, potem on do niej. Przesłali sobie wzajemnie fotografie i bardzo się sobie „spodo-

bali“. W końcu ona miejsce wymówiła, spakowała bagaż, pieniądze wzięła i do Paryża przyjechała.

Czekał na nią na dworcu. Kwity na bagaż od niej usłudnie odebrał, „że niby załatwi“, i na kawę do kawiarni zaprosił. A tam pięknie do niej gadał i umówili się zaraz wedle ślubu. Zdziwił się, że taka nieostrożna i pieniądze trzyma w woreczku, a nie przy sobie. Schował więc je do kamizelki, żeby ich dopilnować, bo to „w Paryżu dużo złych ludzi“.

Potem wyszedł na chwilkę, a ona czekała.

W nocy „samą zostawił, bez grosika, bez bagażu, bez roweru!“

Albo ta historia:

Bardzo się bał Paryża — „wielgie miasto! Innym ludzcie językiem gadają“. Może zajęcia nie dostanie? Może przyjdzie głodować? Na dwie stacje przed Paryżem wsiadł robotnik, polak. Zgadali się. Ten wszystko wiedział, gdzie, co i jak. Mądrała, dobrze mu się powodzi i pełne ma kieszenie franków. Więc pytał go się, gdzie tyli grosz można zarobić? A ten mówi tam... a tam — miejsce 600 fr. Ofiarował się napisać mu podanie. Poszli do kawiarni pisać. Za podanie zapłacił 100 fr.

Ale posady nie dostał, a stręczyciela więcej nie zobaczył, choć chciałby go spotkać, by „dobrze mu ano mordę nabić“

* * *

Czy możemy się więc dziwić, że w Paryżu nie cieszymy się dobrą opinią? Sprawa „Bandits Polonais“ nabrała ogromnego rozgłosu na łamach prasy francuskiej.

Dziewiętnastu ich stawało przed Sądem Przysięgłych w Paryżu. Zarzucono im 6 morderstw, 4 usiłowania zabójstwa i 70 kradzieży. Skazano „Władka“ na karę śmierci (gilotyna), innych na dożywotnie galery i więzienia.

Sprawa ta była wielką ujmą dla dobrego imienia Polski we Francji. Prasa nasza broniła, rehabilitowała „robiła, co mogła“.

Jednak... dramaty na Gare du Nord mówią same za siebie.

STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

NA PROGU NIEWIADOMEGO*)

Na dnie każdego aparatu myślowego, który się nie zadawalnia automatycznym notowaniem zjawisk, pulsuje wiekuiste zapytanie: „Dlaczego?“ Głód prawdy jest człowiekowi niemniej wrodzony, jak głód chleba, ale o ileż trudniejszy do zaspokojenia! Znalezienie ostatecznej przyczyny bytu jest nie tylko celem wszystkich kultów religijnych i systematów filozoficznych, ale i źródłem najgłębszych natchnień poetycznych.

Człowiek wierzący mieczem dogmatu przecina odwieczną zagadkę; mędrzec będzie ją rozplątywał myślowym mozołem; artysta rozstrzygnie jednym błyskiem intuicji, i próżnobyśmy się kusili tropić jego ślady na tych wyżynach, gdzie przewodnikiem jest natchnienie. Ciekawym niesłychanie będzie rezultat artystyczny tych dociekań u jednostki o takim układzie psy-

*) Herminja Naglerowa (J-a Stycz) — „Motyw księżycy“, Warszawa, Kraków 1928. Wydawnictwo J. Morkowicza — str. 142.

chicznym, w którym trzeźwy, prostolinijny, analityczny umysł działa równolegle z uczuciową wiarą w nadprzyrodzony związek między faktami realnymi.

Ktokolwiek czytał artykuły wstępne dr. Herminji Naglerowej w „Bluszczu”, kto podążał za równym biegiem jej myśli — myśli, która operuje liczbą, miarą i wagą, wartościami bezwzględными, nie uganiając się za efektownym frazesem, gardząc tanim sentymentalizmem publicystycznym — ten z niekłamanym zdumieniem weźmie do ręki „Motyw księżycy”.

Jaktoż więc to ta sama głowa dziś wyprowadzała tak trzeźwo wnioski z przesłanek, a jutro pozwalała się kołysać fantastycznym marzeniom? Ta sama ręka szkicowała bilans prac kobiecych i opasywała sferę realnych przeżyć człowieka kręgiem sił fatalnych w czarowany labirynt, z którego napozór niema logicznego wyjścia?!

Jakż może istnieć związek przyczynowy między morderstwem, dokonaniem na osobie przyjaciela i rywala, a tajemniczą postacią służącego, który zjawia się u skrytobójcy, niby żywy wyrzut sumienia, i dokonywa odwetu w ten sam sposób i w takich samych okolicznościach, w jakich została popełniona zbrodnia? („Motyw księżycy”).

W imię czego miłość opuszczonej kochanki może zadać śmierć ukochanemu na chwilę przed połączeniem się jego ze świeżo poślubioną małżonką? („Koszula Dejaniry”). Na mocy jakiego prawa boskiego, czy ludzkiego, zbrodnia Alberta Rufiusa nad Michałem Kelchem powtarza się po kilku wiekach w nowej formie przeżycia i w odmiennej świadomości? („Człowiek z więziennej wieży”).

Czy rozum ludzki może odpowiedzieć na to pytanie? Niel! Ale uczyni to intuicja artystyczna, która zazwyczaj prostszą drogą dochodzi do tych samych wyników, jakie osiąga znużone badanie naukowe.

Tym razem popierać ona będzie tkwiącą w nas głęboko wiarę w najwyższą Sprawiedliwość. Wiara ta urodziła się chyba jednocześnie z biblijnym wypędzeniem pierwszych ludzi z raju i zbrodnią Kainową. Mądrość ludowa zamknęła ją w przysłowie o Bogu nierychliwym, ale sprawiedliwym. Teologia chrześcijańska każe spodziewać się wymiaru kary i nagrody w tem, lub przyszłym życiu. Doświadczenie poucza nas, że każdy postępek jest ziarnem przyszłości, które, zgodnie z naturą swoją, zakiełkuje żdźbłem zboża, albo żdźbłem szaleju. Istnieje żelazna konsekwencja czynów ludzkich i zpod ich prawa nikt się wyłamać nie może.

Autorka „Motywu Księżycy” rozwiązała problem odpowiedzialności człowieka za swoje czyny na drodze magicznego determinizmu. Nadprzyrodzony pierwiastek „Motywu Księżycy” nie jest tylko dowolną dekoracją fantastycznej opowieści. Stanowi on jakby wewnętrzną formę pewnej idei, która do swego ucieleśnienia się wymaga specjalnych warunków środowiska i stopniowego doprowadzenia psychiki bohaterów do stanu niemal telepatycznego.



Dr. Herminja Naglerowa (J-a Stycz)

Zarówno Hipolit z „Motywu Księżycy”, jak Helena z „Koszuli Dejaniry”, jak wreszcie Rufius z „Wieżiennej wieży” — wypracowują w swem wnętrzu jakby embrjon faktu, zanim urodzi się zeń rzeczywistość. I nie jest to bynajmniej tak zwane „przecucie”. Niel jest to najprzód poczucie, potem przypuszczenie, wreszcie pełna świadomość konieczności czegoś, co nastąpić ma, co jest nieodwołalne, niezastąpione, co jest musum.

To stopniowe naprężanie nici fatalistycznej w duszy bohaterów przeprowadzone jest konsekwentnie, z artystycznym umiarem, czasem z nadmierną dyskrecją, zacierającą chwilami wyrazistość rysunku. Ta dyskrekcja wyszła jednak na dobre autorce przy kreśleniu scen gwałtownych. W utworach, których wątek wiję się naokoło zbrodni, jakże łatwo było popaść w tanią okropność, w banalną sensację, w psychologiczny szerlokholmizm!

Autorka szczęśliwie ominęła grożące jej zewsząd niebezpieczeństwa. Jej taniec wśród mieczów obył się bez dotkliwych zadraśnień i bolesnych zgrzytów. Ocalała ją od nich duża kultura literacka i pewien instynkt wrodzony, który możnaby nazwać lojalnością wobec obranego tematu.

Od całkowitego zespolenia się ze swoim tematem dzieli jeszcze autorkę dystans stylu. Chwilami ma się wrażenie, jakby troska o piękne wysłowienie odsuwała na dalszy plan wymowę faktów. Ta supremacja słowa — choroba wieku — nie jest jednak dla autorki „Motywu Księżycy” niebezpieczna. Starczy ona bowiem za ochronne szczepienie tym, którzy swoim czytelnikom mają coś do powiedzenia.

Z ŻYCIA EKRANU

(Trochę o publiczności. — Na marginesie „Niepotrzebego człowieka“)

Sezon filmowy ma się już ku końcowi. Wiosna wypędza widzów z sal kinowych, zastępując im wzrokowe iluzje obietnicami wszelkich rozkoszy „naturalnych“, które w mieście — a zwłaszcza w Warszawie — też okazują się, niestety... iluzjami! Ale na to niema rady. Kiedy drzewa się zazielenią, a słońce przygrzeje — każdy woli skromną plażę Kozłowskiego w naturze, od wszystkich cudów plaży w Palm-Beach — na ekranie. Inna kwestja, że właściciele kin zbyt mało liczą się z tymi, którzy nawet w lecie pozostają wierni srebrnemu ekranowi — i już od czerwca zaczynają wyświetlać obrazy, oddawna predestynowane na zasłużoną śmierć w filmowym krematorjum. Może publiczność, coraz bardziej wyrabiająca się pod względem wymagań, nie dopuści w tym sezonie do zbyt niego obniżenia poziomu repertuaru. Bo, ostatecznie, dla właścicieli kin „publiczność ma głos“ decydujący, i pustki w kasie są silniejszym argumentem, niż najwymowniejsze dowodzenia i artykuły. A trzeba przyznać, że publiczność warszawska jest nie tylko usposobiona krytycznie i stroni zazwyczaj od złych obrazów, ale nawet ma t. zw. „nosa“ — nie daje się skusić tylko reklamą.

Sama nie wiem, jak to się dzieje, ale pomimo najszumniejszych zapowiedzi cudów, jakie czekają widzów na takim, a takim filmie — o ile film ten istotnie nie ma wartości — w kinie już pierwszego dnia są pustki. Widocznie jakaś pantoflowa poczta z szybkością radiodepeszy roznosi po mieście wieść, że dany obraz nie jest wart widzenia. Tak samo szybko publiczność dowiaduje się o dobrym filmie. Naprz. na „Siódmym niebie“ tłoczono się od pierwszego seansu, pomimo to, że nazwiska wykonawców i reżysera były jeszcze nikomu nieznanne.

Nie można jednak żądać od publiczności zbyt wiele. Nie należy się dziwić, na przykład, że „Symfonia wielkiego miasta“ nie miała powodzenia i że, oceniając ten obraz według ilości dni, przez jakie utrzymał się na ekranie, należałoby go zaliczyć do filmów „najgorszych“. Publiczność, bądź co bądź, szuka w kinie przede wszystkim rozrywki. To też zdarzały się wypadki, że widzowie kazali sobie zwracać pieniądze za bilety, wykupione na „Symfonię wielkiego miasta“, twierdząc, że „to jest niewiedomo co, ale nie kino“*). Filmy eksperymentalne nie są przeznaczone dla mas i powinny być wyświetlane w jakiejś małej salce tylko dla elity, interesującej się temi zagadnieniami.

*) Fakt autentyczny.

Przyznając publiczności warszawskiej, że na ogół ma dość duże wycucie w ocenie filmów, nie można jednak zapominać, że składa się ona z najróżnorodniejszych elementów, do których czysto artystyczna strona obrazów nie może przemawiać w jednakowym stopniu. Dlatego najpewniejszą drogą dotarcia do tej masy, tak niejednolitej pod względem wykształcenia, przygotowania estetycznego, upodobań, zainteresowań i t. d. — jest zdolność wywołania wzruszenia. Strona emocjonalna filmu zawsze ostatecznie zadecyduje o jego powodzeniu. W ten sposób może będziemy mogli wytłumaczyć sobie dziwną obojętność, z jaką spotkał się u nas „Napoleon“ A. Gance'a, i — niezwykle sukces „Niepotrzebego człowieka“ Flemminga. „Napoleon“ wzruszał tylko ludzi, rozumiejących kult napoleońskiej legendy, ludzi, u których oglądanie tego filmu kojarzyło się ze wspomnieniami o całej tej epoce, pobudzało do rozmyślań nad nią, naprowadzało na analogie historyczne... Możliwe, że „sam w sobie“ film ten nie dawał materiału wzruszeniowego, a nowe pomysły techniczne i reżyserskie nie zaspokajają głodu wrażeń przeciętnego widza.

Tymczasem „Niepotrzebny człowiek“ — film bezsprzecznie dobry, ale znacznie gorszy od innych



„gwoździ“ ostatniego sezonu („Zmartwychwstanie“, „Krwawa litera“, nie mówiąc już o „Wschodzie słońca“) — urósł w oczach publiczności do miary rewelacji filmowej — prawie arcydzieła. Tymczasem, po przeprowadzeniu choćby powierzchownej analizy, nie możemy nie dojść do wniosku, że jedynym walorem tego filmu, wykraczającym poza ramy poprawności, do której przyzwyczyły nas lepsze wytwórnie amerykańskie — jest genialna gra Janningsa. Scenarzysta ma wprawdzie mało napisów, ale jest to jedyną jego zaletą, a zresztą może też raczej zasługą reżysera, umiającego zastąpić napisy obrazami. Cała ta sentymentalno-naturalistyczna historia przypomina mdły melodramat z przedmiejskiego teatru, który bez udziału Janningsa wogóle nie zasługiwałby na bliższą uwagę. Pierwsza połowa filmu ma przynajmniej jakiś rytm, chociaż więc możemy się nie zgadzać z mieszczańskimi ideałami bohatera — śledzimy z uwagą rozwój wypadków. Ale druga, a raczej — trzecia część jest zupełnie chybiona. Jeżeli wzruszamy się na chwilę, to tylko dzięki Janningsowi, ale nawet on nie może nas przekonać, że jego ofiara była konieczna, a nieszczęście — nieuniknione. A właśnie te chwile wzruszenia, wywołane tylko grą Janningsa (nie jak np. we „Wschodzie słońca“ — całą koncepcją filmu), uważa się za efekt działania całego obrazu; a ponieważ motywy nieszczęścia bohatera są absolutnie dla każdego zrozumiałe, i wzruszenie, niem wywołane, łatwo udziela się widzom — cała sala doznaje uczucia, że działa na nią arcyzm filmu.

Tak więc łatwość wzruszeniowa tematu i sugestywna gra aktorska mogą łatwo zdezorientować widza, co do istotnej wartości obrazu. Może tem tłumaczy się niechęć „awangardzistów“ do aktorstwa w kinie i dążenie do wyeliminowania go, jako jednego z tych czynników, które są zaporą w poszukiwaniu nowych dróg kinematografii.

Stef. H.

Z TEATRÓW

SCENA NOWA:

„Sen“ — sztuka Felicji Kruszewskiej w inscenizacji Wiercińskiego.

Imię Felicji Kruszewskiej dobrze jest znane czytelnikom „Bluszczu“ z głęboko wyczutyh poezyj lirycznych. Ma ona swoistą zdolność wydobywania momentu poetyckiego z najdrobniejszego bodaj zjawiska środkami tak prostymi w swej zmysłowości, że aż wydają się dziecinne. I to jest jedna strona jej twórczego naskórka, reagującego silnie na podniety zewnętrzne.

Druga — to obrócona do wewnątrz świadomość, segregująca zjawiska na istotne i przemijające, na sens i bezsens życiowy. Świadomość ta uległa tragicznemu załamaniu w zetknięciu z zagadnieniem istoty ducha



„Sen“ Felicji Kruszewskiej — Scena w biurze

narodowego, z tem zagadnieniem, które miało charakter polityczny w w. XVI, filozoficzny w epoce romantyzmu, a które obecnie schodzi tak często na manowce partyjnej ideologii.

Światopogląd Kruszewskiej jest współczesnym dzieckiem romantyzmu. Zmaganie się indywidualności jasnowidzącej, wybranej, ze zbiorowością ślepa, ulegająca pustym hasłom, pogrążoną w bezdużnej formalistyce — stanowi rdzeń „Snu“.

Wybór „dziewczynki“ na bohaterkę i pośredniczkę między opiekuńczym duchem narodu, a jego masą, znakomicie usprawiedliwia naiwną koncepcję utworu. Pamiętajmy, że to jest marzenie dziewczęcego Orcia, który widzi wszystko oczyma duszy, a niczego w księdze przeznaczeń odwrócić nie może.

Przyjrzyjmy się wątkowi dramatu. U Dziewczynki, zasypiającej przy zwijaniu włóczek, zjawia się Wysłaniec. Oznajmia jej, że narodowi grozi klęska. Do bram stolicy podchodzą czarne wojska. Ocalić od nich kraj może tylko Książę, uosobienie bohaterstwa, zaklęte w spiz na kamiennym cokole. Ona, Dziewczynka, ma rzucić czerwone kwiaty pod kopyta księżęcego rumaka, obudzić uspione bohaterstwo narodu.

Już samo to włożenie nadmiernie ciężkiego zadania na barki Dziewczynki ugina je poczuciem własnej niemocy. Joanna d'Arc ukoronowała wprawdzie Delfina, ale miała za sobą, prócz własnej, prostaczkiej wiary w cud, zbiorową wiarę swego otoczenia. „Dziewczynka“ — to pogrobowiec romantyzmu. Wierzy w cud, ale wątpi we własne siły. Zresztą wszystko, co ją otacza, sprzysięgło się przeciw niej. Nawet jej zielony

pajac, który „powinien wisieć na lampie“. Napróżno Dziewczynka szuka czerwonych kwiatów. Napróżno chce przejść bramę, dzielącą ją od księcia. Napróżno błaga o pomoc człowieka, który ją kocha. Człowiek ten wprawdzie przekracza symboliczną bramę śmierci, czyli — „umiera z miłości do Dziewczynki“, ale nic jej pomóc nie może. Widmo zabitego „braciszka“, ukazujące się jej na czele kompani poległych żołnierzy, pogłębia tylko przepaść, dzielącą świat umarłych od świata żywych.

A tymczasem czarne wojska weszły do stolicy, witane z radością przez mieszkańców. Napróżno Dziewczynka chce otworzyć oczy zaślepionym masom. Nikt jej nie wierzy. Aż wreszcie, w momencie zupełnego zwątpienia, zjawia się Wysłaniec i posuwa wskazówkę na zegarze dziejowych przeznaczeń. Tłum demaskuje czarne wojska. Cud się stał: Książę spał rumaka i zeskoczył z cokółu. Uśpione bohaterstwo narodu ożyło.

Inscenizacja podkreślała fantasmagoryjność utworu w sposób nieco groteskowy i niezawsze trafny. Do szczęśliwszych momentów zaliczyć można obraz w biurze. Zabójcza bezduszość biurokracji znalazła doskonały wyraz w zmechanizowaniu ruchów i dźwięków.

Natomiast nadużywany często system powtarzania tych samych zdań i słów w innych scenach przechodził chwilami w manierę, zacierającą intencje autorki i jej głęboki liryzm.

Właściwy ton wzięła p. Niedzielska, jako wykonawczyni trudnej i męczącej roli Dziewczynki. P. Wierciński, jako Pajac, dał sumiennie wystudjowaną groteskę rzeczywistości. Całość była wyreżyserowana konsekwentnie, choć chwilami przeciągnięta poza tę granicę umiaru artystycznego, gdzie kończy się harmonia, a zaczyna dysonans.

Ponieważ w tych dniach ukaże się „Sen“ w wydaniu książkowym, radzimy wszystkim miłośnikom poezji przeczytać tekst przed pójściem do teatru, a następnie zestawzić wrażenia lektury z wrażeniami scenicznymi. Tą jedynie drogą można dojść do wyeliminowania istotnych wartości sztuki, niezależnych od formy inscenizacyjnej, a spoczywających w płaszczyźnie ściśle poetyckiej.

Poza nawiasem właściwej recenzji trudno jest nie wspomnieć o przemilej widowni w gmachu Związku Zawodowego Kolejarzy. Jest to kulturalne wnętrze, ze wszech miar nadające się nie tylko na produkcje sceny eksperymentalnej, ale wogóle na widowiska, popisy, zebrania o charakterze kulturalnym i artystycznym.

Oby „Sen“ Kruszewskiej stał się dla niego związkiem owocnej jawy.

S. P. O.



Kobieta w świecie i w domu

WYCIECZKA TOWARZYSTWA POLEK Z GDAŃSKA
I JEGO OKOLIC.

W całym szeregu wycieczek, jakie w ciągu roku w swych murach gościła Warszawa—ta właśnie wycieczka Towarzystwa Polek Gdańszczanek powinna być jedną z najmiłszych jej sercu. Bliską i najmiłszą dla tego właśnie, że stanowi ona jedno z niesłychanie ważnych ogniw z łańcucha czynów, mających na celu zatarcie granic, istniejących między zaborami. Granice te są dziś już tylko uczuciowe, więc coroczne, wzajemne odwiedziny zacierają je do szczętnie, wytworząc miłą atmosferę obustronnej sympatii. Gdańszczanki przyjechały do nas już nastawione pod kątem serdeczności. W tej licznej grupie kobiet starszych i młodszych zdumiewa przede wszystkim cudowne, poprostu, uświadomienie narodowe. To się, oczywiście, nie mogło wyrobić przez te parę lat, w ciągu których Gdańsk istnieje, jako Wolne Miasto, i, stojąc na pograniczu Polski i Niemiec, zapewnia swym mieszkańcom wszelkich narodowości jakie takie prawa wolnościowe. Uświadomienie to musiało się począć jeszcze w odległych (zło zawsze się wydaje dalekie) czasach niewoli, gdy wszystko, co się działo, dzieć się musiało pod okiem niemieckiego „szucmanna“—złem i niebezpiecznym. I na tem właśnie polega wielka zasługa „Towarzystwa Polek“, iż w jaknajbardziej nieprzyjaznych warunkach broniło polskości ognisk domowych. Członkinie „Towarzystwa“, starsze i bardziej wyrobione, nie tylko na zebraniach, przez książki i pogadanki pobudzały ducha patriotyzmu, ale wsuwały się do domów i działały bezpośrednio, rozciągając swój wpływ z matek na dzieci. Tak szła praca przez lat 30,—długa i niezmordowana—aż wreszcie do czekała się jasnego dnia: niepodległości.

Na swoje odwiedziny w Warszawie kobiety gdańskie patrzą, jak na dawno oczekiwane szczęście: to nie jest już zwykła wycieczka krajoznawcza, połączenie przyjemnego z pożytecznym, ale pielgrzymka do miejsc upragnionych i najdroższych. Mówią mi o tem skupione i poważne twarze gdańszczanek i oczy ich, w których zostało jeszcze wzruszenie z momentu złożenia wieńca Nieznanemu Żołnierzowi.

Gdańszczanki opuszczają Warszawę po miłych wrażeniach serdeczności, jaką otoczyło je nasze Koło Polek. Zbliżyła je wspólność idei i dążeń. „U was jest lepiej“ rzekła do mnie jedna z przyjezdnych—„pracujecie wszystkie razem i niema podziału na sfery towarzyskie. Kobięca inteligencja w Gdańsku odsuwa się zupełnie od współpracy z nami, co się niekiedy daje dotkliwie odczuć. Nie możemy się jednak napraszać. A jak wiele możnaby zrobić wspólnymi siłami!“

Słusznie! Czy u nas jest pod tym względem idealnie — nie wiem. Myślę, że jest jednak cokolwiek lepiej. Może i tam się zmieni.

Pożegnałam miłe gdańszczanki, wyjeżdżające w dalszą drogę do Częstochowy i Krakowa, życzeniami owocnej pracy. Niechaj serdeczność, jaką znajdują w miastach Polski, zachęci je do dalszych odwiedzin!

Z. M.

NOWE PLACÓWKI WARSZAWSKIEJ OCHRONY KOBIET

Towarzystwo Ochrony Kobiet w Warszawie, które stanowi oddział „Międzynarodowego Zjednoczenia Opieki nad młodem dziewczęciem“—z siedzibą we Fryburgu szwajcarskim—przystąpiło do rozszerzenia swych placówek,

Przy ul. Mokotowskiej 55 rozpoczęto budowę wielkich gmachów, w których, oprócz biur zarządu, mieścić się będą:

1) bursa dla pracownic niezamożnych, które nie mogą płacić wygórowanych cen za mieszkanie i utrzymanie;

2) hotelik dla przyjeżdżających młodych kobiet, nie mających pieniędzy na opłacenie hotelu;

3) internat dla pracownic, kształcących się i pracujących w warsztatach Warszawskiej Ochrony Kobiet.

4) warsztaty pracy zawodowej, jak: bieliźniarstwo, krawiectwo, czapnictwo—przyczem mają być uruchomione nowe działy pracy, odpowiedniej dla kobiet.

Placówki powyższe tworzy W. O. K. w intencji zadośćuczynienia najbardziej palącym potrzebom wśród niezamożnych dziewcząt, narażonych na brak pracy, lub wielki wyzysk tej pracy, pozbawionych dostatecznej opieki ze strony rodziny, oraz przyjeżdżających z prowincji, których liczba w ostatnich czasach rośnie niepomierne. Do Warszawy ściągają rzesze młodych dziewcząt, którym się zdaje, że otrzymają w stolicy pracę i świetne posady, jako służące, biuralistki i panny sklepowe... W rezultacie zaś padają ofiarą nędzy, bezrobocia, lub dostają się w szpony handlarzy „żywym towarem”.

Przed lekkomyślnymi wyjazdami na niepewne szukanie pracy w stolicy powinno się jaknajgorzej przestrzegać młode dziewczęta. Gdybyż to w miastach i miasteczkach prowincjonalnych zakwitła inicjatywa opiekowania się dorastającymi pannami, szkolenia ich w zawodach i kierowania do pracy na miejscu, tak, jak to w miarę sił i możliwości stara się robić Warszawska Ochrona Kobiet dla młodych warszawianek!

J. K.

PROPAGANDA WALKI Z RAKIEM

Koło Pań przy Polskim Komitecie Zwalczenia raka (Seksja prasowo-propagandowa) organizuje wraz ze Związkiem Przeciwgruźliczym propagandowe dni w różnych naszych uzdrowiskach.

Akcja ta w roku ubiegłym dała bardzo dobre wyniki, szczególnie w Ciechocinku, gdzie grono dzielnych działaczy stanęło do pracy.

Na rok obecny planuje się urządzenie „Dni walki z rakiem i gruźlicą” w okresie od 20 czerwca do 25 sierpnia w następujących miejscowościach: Busk, Ciechocinek, Drusieniki, Gdynia, Krynica, Otwock, Rabka, Truskawiec.

Program obchodów jest bardzo urozmaicony: obejmuje obok odczytów popularnych i fachowych—popisy artystyczne, pochody propagandowe i t. p.

Panie, wyjeżdżające do wymienionych uzdrowisk, powinny wszędzie wziąć żywy i czynny udział w organizowaniu „Dni walki z rakiem i gruźlicą”, pomagając wymienionym organizacjom społecznym w osiągnięciu ich celów, które powinny być celami najszerszego ogółu społeczeństwa, niestety, ciężko dotkniętego strasznie chorobami.

Gotowość do współpracy można zgłaszać u przewodniczącej Sekcji propagandy, p. Dr-owej Sterling-Okuniewskiej—Warszawa, Marszałkowska 41.

J. K.

WALNE ZEBRANIE TOWARZYSTWA POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ

Stosownie do wymagań § 31 Statutu Towarzystwa Polskiej Macierzy Szkolnej, odbędzie się w Warszawie Walne Zebranie w dniach 2 i 3 czerwca 1928 roku.

Porządek dzienny Walnego Zebrania obejmuje: W sobotę, dnia 2-go czerwca o godzinie 16-tej otwarcie obrad Walnego Zebrania przez Prezesa Zarządu Głównego P. M. S. p. J. Świeżyńskiego. Referat p. J. Stemlera, Dyrektora Polskiej Macierzy Szkolnej, na temat: „Aktualne formy pracy społeczno-oświatowej”. Dyskusja. O godzinie 20-tej pokaz filmu oświatowego: „Danja—kraj, ludność i kultura”. W niedzielę 3-go czerwca o godzinie 9-tej rano Msza święta w kościele św. Krzyża, o g. 10-tej zwiedzenie Wystawy Łowickiej w lokalu Macierzy następnie dalszy ciąg ob-

rad Walnego Zebrania, poświęcony statutowym i regulaminowym sprawom organizacyjnym Towarzystwa.

Obrady Walnego Zebrania odbywać się będą w sali Towarzystwa Kredytowego, ul. Czackiego 23.

PO ZGONIE PROF. DR. JÓZEFY JOTEYKO

Na skutek zaproszenia kilku organizacji odbyło się w dniu 5 maja r. b. w sali Państwowego Instytutu Pedagogiki Specjalnej w Warszawie pierwsze posiedzenie Komitetu uczczenia zasług Prof. Dr. Józefy Joteyko, zmarłej dnia 24 kwietnia b. r.

Na posiedzenie to przybyli liczni przedstawiciele nauki polskiej.

Posiedzenie miało na celu porozumienie się, co do sposobów uczczenia pamięci Prof. Dr. J. Joteyko, oraz zaznajomienia szerokich mas społecznych z Jej zasługami na polu społecznym i naukowym.

Postanowiono na jesieni roku bieżącego zorganizować uroczystą akademję i przystąpić do zbierania materiału w celu wydania zbiorowej książki o Jej życiu i pracach. Ponadto postanowiono zbierać fundusz na wydanie w języku polskim wyboru dzieł Józefy Joteyko, oraz ufundowanie instytucji naukowej Jej imienia.

Wobec tego Komitet zwraca się do wszystkich organizacji i instytucji, pragnących wziąć udział w pracach Komitetu, aby akces swój zgłaszały na piśmie do Prezydium Komitetu (M. Grzegorzewska, Plac Trzech Krzyży 4/6), oraz do wszystkich organizacji i ogółu społeczeństwa, aby, dając wyraz zrozumienia zasług tej Wielkiej Uczzonej i Wielkiej Obywatelki—wplacało na ten cel sumy na rachunek P. K. O. Nr. 17,399.

Redakcje wszystkich pism proszone są o przedruk niniejszej odezwy.

KONGRES — AUXILIAIRE FEMININE „FIDAC’U”

Przy końcu roku ubiegłego odbył się w Paryżu Kongres Żeńskiej Sekcji międzynarodowej federacji („Fidac”) byłych kombatanów, na który stawiły się liczne delegatki z dziesięciu Państw aljanckich.

Żeńska Sekcja (Auxiliaire Féminine) jest filją Międzyspołecznej federacji byłych kombatanów, łączącą wszystkie organizacje kobiece, jakie podczas wielkiej wojny i później udzielały pomocy żołnierzom, oficerom i ich rodzinom.

Na prezeskę Sekcji na rok 1928 została obrana M-me Marcel Hénaud, żona prezesa „Fidac’u”.

Na wniosek Mrs. Gerdes, przedstawicielki W. Brytanji, uchwalono wydać pracę o działalności wszystkich instytucji kobiecych pomocy ofiarom wojny w poszczególnych krajach.

Pomiędzy innymi, na specjalną uwagę zasługuje sprawozdanie p. Mazarakowej, wice-prezeski na Polskę, o pracach w naszym kraju.

Na wniosek naszej rodaczki postanowiono stworzyć sekcję informacyjną, w celu okazywania opieki członkiniom „Fidac’u” przybywającym do któregośkolwiek z państw sprzymierzonych

H. S.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Sympatykowi „Bluszczu”. Obrazek z życia nauczycielki b. prawdziwy — nie możemy jednak drukować ze względu na zbyt bliskie pokrewieństwo tematu z „Siłaczką” Żeromskiego.

Marwit. Wiersze są jeszcze b. młode. Forma nieopanowana. Musi Sz. Pani czytać dużo dobrych poetów i bardzo nad sobą popracować.

B. K. Wiersze b. słabe.

WYKSZTAŁCENIE ZAWODOWE KOBIEC

Kilkoletni okres dorastania córek budzi w sercu każdej matki łatwo zrozumiałą troskę i wahanie. W którą stronę zwróci się bieg młodego życia? Na jakich to—oby mocnych, oby najmocniejszych—podstawach wzniesie się nowy gmach samodzielnej egzystencji? Co uczynić, aby w tym okresie ponownego odłączenia od kochającej macierzyńskiej piersi przyjść z rzetelną, niechybną pomocą w wyborze drogi życiowej, fachu, zawodu? Dziewczeta samotne, pozostawione sobie, również powinny poważnie się zastanowić nad tem zagadnieniem.

O konieczności uczynienia wyboru drogi życiowej już we wczesnej młodości—zbyteczne jest dyskutować. Niezależnie nawet od względów materialnych, niepodobieństwem jest kłaść tamy nieprzewyciężonej potrzeby każdego zdrowego ludzkiego organizmu — zapuszczeniu korzeni we własną glebę, stworzeniu sobie własnego, odrębnego świata pracy.

Niezależność, t. zw. fach w rękę, jest niby dach nad głową, doskonale chroniący od nieprzychylnych konjunktur życiowych — mocna sprężyna, regulująca tryb codziennego istnienia—pas ratunkowy w wypadku nagłego wrzucenia w odmet katastrof życiowych.

Jest jednak pewien konieczny warunek, bez zaśluczynienia któremu praca w żadnym wypadku nie stanie się tą naturalną funkcją fizycznych i duchowych sił organizmu, tym koniecznym chlebem i wodą istnienia, najwyższą racją bytu każdego człowieka. Musi ona jaknajbardziej mu odpowiadać. Musi być tą drogą, trudną nieraz, ale w jaknajwiększej ilości punktów radosną, na której nie może się gromadzić gruz rozczarowań i zniechęcenia. Aby ustrzec dziecko — szczególnie młodą dziewczynę—od możliwości postawienia fałszywego kroku decyzji, co do przyszłego zawodu — każda matka musi głęboko się zastanowić nad najdrobniejszym przejawem duchowego i fizycznego organizmu, któremu na imię: córka. Od wczesnego dzieciństwa skrzętnie gromadzić spostrzeżenia, śledzić najdrobniejsze przejawy tego, czy innego upodobania, obserwować, badać — snuć wnioski. Każda dziewczynka zdradza jakieś wyraźne upodobanie — rzeczą wnikliwej subtelności matki będzie wycucie prawdziwych skłonności pod sypką naleciałością przelotnych kaprysów. Im bardziej zbliża się okres dojrzałości duchowej, tem obserwacja musi stawać się bacniejszą, tak aby w okresie wyraźnie przełomowym (np. matura) móc zdrową, konkretną radą wesprzeć słabą jeszcze decyzję. W wypadkach wątpliwych, polecić możemy raz jeszcze zwrócenie się po niezawodne wskazówki do Biura Porady Zawodo-

wej (Szpitalna 12), oraz do Pracowni Psychotechnicznej (Mokotowska 5,) gdzie przy pomocy metod naukowych poddawane są badaniu wszelkie władze fizyczne, i intelektualne, a tem samem ustalane są kwalifikacje danego osobnika.

Ale nie koniec na tem. Poza powzięciem zasadniczej decyzji, co do skłonności i upodobań, należy jeszcze sprecyzować sobie jasno plan dalszych studjów, w ścisłej zależności od warunków materialnych, od czasu, który możemy na wykształcenie w obranej dziedzinie poświęcić, od miejsca zamieszkania oraz możliwości ewentualnego zastosowania w życiu tej, czy innej umiejętności. Mamy dziś tyle najrozmaitszych szkół w Polsce, tyle stopni i odchyień każdej specjalności, tak różnorodne poziomy i wymagania poszczególnych uczelni—że niepodobna się w tem wszystkim zorientować bez czyjejs fachowej pomocy. Chcąc ułatwić naszym czytelniczkom wybór dalszego życiowego kierunku dla siebie, lub najbliższych sobie istot, a tem samem uczynić zadość gwałtownej potrzebie orientacji (o której braku świadczą wymownie licznie nadsyłane do Redakcji listy z zapytaniami)—postanowiliśmy, poczynszy od przyszłego numeru, dać cykl artykułów, poświęconych zawodowemu wykształceniu kobiet. Będą w nich kolejno rozpatrywane rozmaite specjalności z podaniem ścisłych informacyjnych wskazówek, co do rodzaju uczelni, wymaganych kwalifikacji, opłat, czasu trwania nauki, oraz możliwości zastosowania w życiu zdobytej tą drogą wiedzy. Cykl ten zawierać będzie następujące działy:

- 1) Nauka i sztuka.
- 2) Agronomja, gospodarstwo domowe, ogrodnictwo, pszczelnictwo, jedwabnictwo i t. p.
- 3) Sztuka stosowana, rzemiosła.
- 4) Wychowanie fizyczne, pielęgniarstwo, ochro- niarstwo i t. p.
- 5) Biurowość, kursy handlowe, stenografja.

Pozostawiając czytelniczkom zupełną swobodę wyboru, mamy jedynie na celu dać im do rąk surowy materiał informacyjny, którego zdobycie w poszczególnych wypadkach natrafia na znaczne trudności, rezultatem czego popełniane bywają odbijające się w późniejszym życiu niedopatrzienia i pomyłki. Rzecz jasna, że o zupełnem wyczerpaniu tak różnorodnego i bogatego materiału, jakim jest sieć szkolnictwa w Polsce, nie może być mowy, gdyż zajęłoby to zbyt dużo miejsca. Sądzymy jednak, że wymienienie i scharakteryzowanie ważniejszych ośrodków oświatowych naszego kraju pójdzie w zupełności po linii palącej potrzeby naszych czytelniczek. Akcję tę rozpoczynamy już w maju, t. j. w okresie pierwszej serji matur, aby zarówno matki, jak przyszłe „specjalistki“ mogły zużytkować letni odpoczynek na głębszy namysł i zastanowienie nad tak ważną sprawą, jaką jest wybór ołtarza, przy którym będzie się odprawiało codzienne misterjum pracy.

Wanda Borudzka.

O POLSKOŚĆ NASZYCH WNĘTRZ

V.

POLSKIE WNĘTRZE W DOBIE DZISIEJSZEJ

Pewien znajomy mój, ziemianin, człowiek zresztą sympatyczny i kulturalny, oprowadzając mnie nie bez dumy po swoim modrzewiowym dworze, otworzywszy drzwi salonu, powiedział z nietajonem zadowoleniem:

— a tu mam Chełmońskiego!

Rozejrzałam się, i widocznie wyraz mej twarzy zdradził moje wrażenie, bo znajomy mój zapytał z niepokojem:

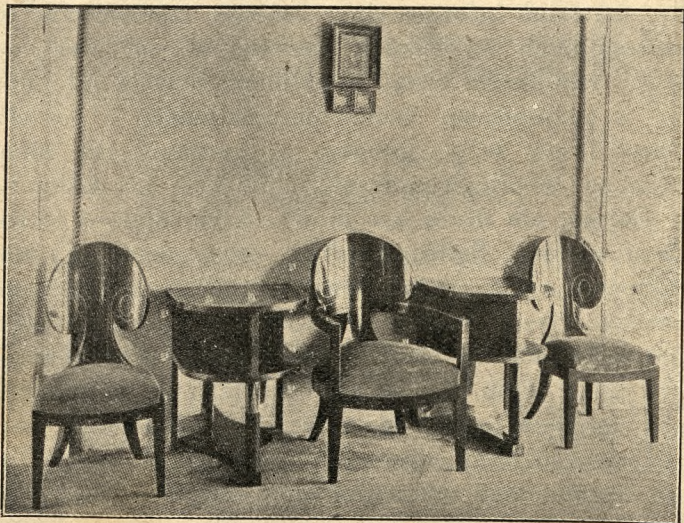
— Jakto, nie podoba się pani?!

— Obraz? ...ależ to bajka! — zawołałam — roztop wiosenny, na szarawem niebie złociste uśmiechy słońca, trawki dźwigają się z ciemno-mazistej ziemi; słyszę prawie furkot wystrzelających na pierwszym planie kaczek... ten obraz wszędzie, na każdej szerokości geograficznej powiedziałby mi: Polska!.. tylko to tło... czy nie rażą pana meble, na których tle powiesił pan swego Chełmońskiego?

— Ależ meble te matka moja otrzymała na wyprawę! oryginalny Ludwik XIV, sprowadzony wprost z Paryża!.. są piękne i bardzo je lubię... — mówił już prawie urażony gospodarz.

Bezsprzecznie, są piękne. Lakierowane, złoczone, obite różowo-złotą, pierwszorzędnego gatunku materją; stoją na puszystym amarantowym dywanie w typowe girlandy kwietne, na tle biało tapetowanych ścian, kilku sztychów francuskich i dwóch martwych natur (różowawe peonje).

— Piękny salon! Mógłby go pan pokazać, jako salon francuski w każdym mieście... tylko dlaczego znajduje się na wsi, i co wspólnego ma z nim Chełmoński?...



Bawialnia w dworku

Karol Tichy

Przecież Chełmoński, to szczerza, w prostactwie swem rzewna wieś... a te meble — to wyrafinowane kulturnictwo, pompa z grymasem przesytu, monarchizm w swem wzdorliwym odosobnieniu... Co Chełmoński, poeta ziemi i samotności — ma z tem wspólnego?! Obrazowi temu trzeba dać irne otoczenie, bo tutaj czuje się źle.

Od dnia tego staliśmy się przyjaciółmi. Chełmoński króluje w krytym skórą gabinecie, pompacyjne Ludwiki pojechały do salonu warszawskiego, a ze strychów wyszperane „gruchoty” — stare czeczotki i jesiony — zdobią naprawdę pięknie i sensownie stary, modrzewiowy dwór.

Bo maximum logiki współczesnego wnętrza — to takie rozmieszczenie sprzętów i ozdób, aby żadne z nich nie przeszkadzało drugiemu, aby każde spełniało swe przeznaczenie oraz dopełniało się we wspólnej harmonji.

Aby uzyskać jaknajwięcej przestrzeni, architekt dzisiejszy szafy i kredensy umieścił w murze, ściany jadalni do połowy wyłożył buazerją, przez co pokój otrzymał sutą oprawę, na której tle stół i krzesła, wraz z kilkoma drobiazgami na ścianie i kilkoma wazami majolikowemi, stanowią już doskonale urządzoną jadalnię.

To samo da się powiedzieć o hallu. Parę foteli klubowych, stół, krzesła i jaknajwięcej wzorzystych, rozwieszonych na ścianach tkanin, włącznie z lustrem, umieszczonem nad kominkiem — stanowią treść tego miłego i lubianego powszechnie zacisza.

O piękności salonu decyduje spokój na ścianach, które właśnie u nas przeładowane są wszelkiego rodzaju obrazami — a więc obok pomidorów, selerów i kapusty wisi obraz batalistyczny, tuż zaraz pejzaż morski, pod nim — niesamowity Wawrzeńcki, z boku Wenus na czerwonym tle, a nierzadko jakiś Grottger lub Matejko.

Właściciela takiego salonu nazywamy „zbieraczem”; uchodzi on za znawcę sztuki, a powinien iść na przeszkolenie, aby się dowiedział, że im cenniejszy obraz, tembardziej uczczony powinien być osobną ścianą, na której wartości jego nie przygłuszałby piękny moze, lecz natrętny sąsiad, a przeciwnie — podniosłoby go i wyodrębniło spokojne i neutralne tło.

W mieszkaniu takiego zbieracza widzimy czyhającą z każdego kąta i walącą się na nas (bo jest ciasno) rzeźbę, niczem nie związaną z tłem licznych mebli, będących chlubą gospodarza, zbieraniną różnych epok i stylów, co, razem wzięte, wytwarza chaos i niepokój nie do zniesienia.

Uspokoićby można pokój taki, usunąwszy trzy czwarte obrazów i pomieściwszy je w osobnym, niczem już więcej niewypełnionym pokoju — galerji, gdzie będą wegetować samotnie, zamiast stanowić część dekoracyjną domu, dlatego poprostu, że jest ich za dużo i w ciasnych ramach jednego mieszkania nie mają racji bytu.

Mieszkanie, a galerja, to dwie sprzeczności, których łączyć ze sobą nie można. Każdy sprzęt w mieszkaniu, o ile nie służy potrzebom mieszkańców, a obraz, lub tkanina—o ile nie jest użyty, jako plama—to zbytecznie wegetujący intruz.

Meble zaś muszą być w zespole zharmonizowane, bądź kolorami (nie łączymy zasadniczych ze złamaniami), bądź pokrewną epoką, o ile są antykami.

Ideałem pięknego wnętrza jest całość, skomponowana przez jednego artystę. Wtedy mieszkanie nasze nie jest platformą przygodnego spotkania różnych i często zwalczających się elementów, lecz wyrażoną plastycznie — myślą.

Naogół jednak utarło się przekonanie, że takie rozwiązanie sprawy umeblowania jest niezwykle kosztowne, więc mało komu dostępne.

Oczywiście, jeśli kto pragnie mieć wyłącznie dla siebie unikatowe urządzenie—musi zapłacić za wyłączość (tak, jak płaci się cenę specjalną za model kostjumu, czy kapelusza); artyści nasi jednak, dążąc usilnie do wyrobienia prawa obywatelstwa polskiemu meblowi, założyli towarzystwo „Ład”—gdzie na własnych warsztatach wykonywać będą meble — a już wyrabiają tkaniny i majolikę.

Stoimy więc u progu najważniejszego zagadnienia. Mebel polski jest! Dowodem tego najwymowniejszym nasze medale, nagrody i zaszczyty, zbierane na wystawie Paryskiej w 1925 r.

Co najważniejsze—mebel polski dąży do uwielokrotnienia wykonywanych egzemplarzy, co uczyni cenę ich przystępną dla szerszego ogółu, a temsamem ułatwi pozyskanie prawa obywatelstwa najnowszemu wyrazowi naszego dorobku kulturalnego — polskiemu meblowi.

Ta pierwsza podjęta z sukcesem próba, to zaledwie początek ogromnej akcji, jaką w tej dziedzinie przygotowują nasi artyści.

Gdy szkoły zawodowe, których celem jest właśnie przygotowanie młodzieży kulturalnej i świadomej swej roli — przyszłych twórców polskiej porcelany, tapety, tkaniny, sprzętu i budynków — otrzymają, jak jest w planie, warsztaty, odpowiadające ich wysiłkowi pedagogicznemu, na których w każdej szkole da się założyć bezpośrednio wytwórnice — sprawa polskości naszych wnętrz uzyska szerokie tory rozwoju.

Nie można wątpić, że ogół, mając do wyboru sprzęt obcy, a własny — uczyni wybór należyty, przyczyniając się do rozwoju własnego meblarstwa, a sobie gotując rzetelną radość z estetycznego wnętrza.

Pozostaje jeszcze jedna, niesłychanie ważna sprawa naszych wnętrz: tkaniny. W tej kwestji nie mamy już żadnych trudności i żadnych wahań.

Kilimy nasze, te piękne i słynne już na cały świat tkaniny wełniane—po olbrzymim sukcesie, jaki odniosły w Paryżu w 25 roku na wielkiej wystawie, ostatnio na specjalnej wystawie w Pavillon de Marsan



Pokój pana

Józef Czajkowski

następnie w Szwecji i t. d. — uzyskały sobie popyt w całym świecie cywilizowanym.

Nie mam zamiaru rozwodzić się nad ich pięknnością i odrębnością, dzięki której wyrobiły sobie wielką sławę — zwracam tylko uwagę, że nic tak nie zdobi wnętrza i nie daje mu charakteru, jak te właśnie najcenniejsze i najbarwniejsze tkaniny.

Dzisiaj już kilim stał się znakiem runicznym, wykładającym prawdę o sztuce polskiej — właściwie więc jest wszystko jedno, czy skomponował go sławny artysta, czy uczeń której ze szkół zawodowych, czy wreszcie chłop na Litwie lub Podhalu.

Kilimkarstwo stało się przemysłem narodowym i niechajże rozwija się tak świetnie, aby nasycić mogło nie tylko rynek wewnętrzny, ale i wyrażający duże zapotrzebowanie rynek zagraniczny.

Trudno dziś wyobrazić sobie nasze mieszkanie bez tej pięknej ozdoby.

Drukowane serwety pluszowe z potwornym szlakiem, portjery w okropne secesyjne floresy, wszystkie, rodem z Berlina, zaśmiecające nasze domy, szmaty—koniec wasz nawet w mniej wybrednych domach jest bliskil.. nie liczcie na dalsze tolerowanie was w polskim domu!..

Wyprzeć was musi zarówno pięknnością swoją, jak i niskością cen tkanina przemysłowa ludowa, nadająca się na pokrycia mebli, na portjery, serwety—tkanina, która, wprowadzona w nasz dom, nadaje mu od razu odrębny charakter.

Gdy do tkanin tych dołączymy wazony, garnuszki, popielniczki i drobiazgi, choćby najprymitywniejsze, wyrobu ludowego—pokój nasz przemówi od razu językiem własnym, bogatym, niezastąpionym, jedynym językiem, jakim Polakowi godzi się przemawiać we własnym domu: — po polsku!

Marja Morozowicz-Szczepkowska.



ANGIELSKA SOBOTA

Z cyklu: „Na tle obyczajowości w Anglii“.

Pociąg przystanął tak nagle, wychynawszy, zda się, dopiero co z długiego, a czarnego, jak noc, tunelu, że gdy Katlinka rzuciła lakonicznie—„już”—porwałam się z ławki, ogarnięta na poczekaniu gorączkowym pośpiechem.

Teraz dopiero skonstatowałam niemal z przerażeniem, że przyjaciółka moja wiozła ze sobą rakiety, skórzany worek z laskami golfowemi, aparat fotograficzny i jeszcze coś... Trzeba więc będzie to wszystko ściągnąć ostrożnie z siatki, aby komu na łeb nie spadło, a pociąg już sapie i już się niecierpliwi, aby gnać dalej.

Katlinka, denerwująco opanowana w ruchach, wyciąga ramiona ku walizce, gdy naraz z drugiego końca przedziału zrywa się dwóch gentlemenów. Właściwie, nie widziało się ich wcale dotychczas: ukrywali się w dymie fajek, przesłonięci Times'em.

Nie zauważyli nas napewno, a teraz oto, jak na komendę, jeden skoczył do okna i otworzył je błyskawicznie, drugi tak samo zgrabnie porwał wszystkie nasze paczki i wyrzucił na peron... w czyjeś niemniej usłudźnięte dłonie. Mig — błyskawica. Sztywny, zdawkowy ukłon — nie zdążyłam nawet zapiąć jednej rękawiczki.

Jestem pełna wdzięczności... lecz towarzyszka popycha mię ku wyjściu, rzucając obojętnym głosem, króciutkie: „Thank-you“! — Wsiadamy. Stacja węzłowa. Ruch wielki. Tuż o parę kroków czekają na nas starannie ułożone tobołki. Nikt ich nie zmiażdżył, ani skopał nogami. Nikomu też za tę przysługę nie trzeba zaraz dziękować... ani płacić.

A teraz, drogie czytelniczki, jesteśmy już prawie na miejscu! Chłońmy nowe wrażenia i ruszajmy wśląd za dzielną naszą angielską.

Kroczy właśnie żwawym, pewnym krokiem naprzód, pokazując wyciągniętą dłonią kierunek wędrówki: wdół schodami, długim pasażem, znowu w górę, na wiadukt.

Teraz dopiero widzi się, jak wygląda takie każde sobotnie popołudnie angielskie na wszystkich większych i mniejszych stacjach. Ruch, pośpiech, ożywienie, — a przecież ludziska nie tłoczą się jeden na drugiego, nie depczą sobie po piętach; a przecież nikt nie klnie, ani wymyśla, ani się szarpie. Przeciwnie — jeden drugiemu ustąpi. Silniejszy dopomoże słabszemu, a już kobietom, dzieciom...

Przytem, jak jednolitym, sprawnym, a oszczędnym w ruchach wydaje się ten tłum przygodnie zebranych wycieczkowiczów! Starzy czy młodzi, kobiety czy mężczyźni, olbrzymy czy karły, — wszyscy wyglądają jednakowo, wszyscy, niby w przepisowych mundurach — stanowią pewną kategorię ludzi, pośpieszających rzeczowo do wytkniętego celu.

Trochę mi niepewnie na zbyt wysokich, ślizgających się obcasikach — wobec mocnego postukiwania solidnych amerykańskich.

Trochę mi żenująco w zbyt jasnym płaszczu i ukwieconym kapelusiku — wobec tych szeroko-długich „makintoshów“, nasuniętych mocno na głowy filców i gigantycznych rękawiczek. A przecież każdy szczegół tego — uniformu podróznego — uderza pomysłową praktycznością, wygodą, oraz estetycznym doborem kolorów i barw. Wreszcie — ulica. We wzorowym porządku, sznurem, przystają przed stopniami ganku wozy automobilowe. Wsiadamy. „All right, darling!“ Wszystko dobrze, kochanie! — odzyskuje wreszcie moję Katlinka, rozlokowując się w aucie. — Wcale nie! — myślę przekornie, z miną nieco obrażoną. Spozieram w roztargnieniu na malowniczą panoramę ślicznego miasteczka, które przecinamy, i skryształizujemy naraz swe niezadowolenie:

— Bo i powiedz... czemu nikt nie wyjechał na nasze spotkanie?

— Co? — bąka cudzoziemka, chciwie chłonąc oczyma wszystko, co mijamy po drodze, — a pociąg żartujesz chyba... cóż to, same sobie rady nie damy? A zresztą, przecież dzisiaj sobota!

— Bo może wcale i nie czekają... Gość nie w porę, gorzej tatarzyna! — upieram się przy swoim. Ale Angielka nic nie wie, ani chce wiedzieć o żadnym tatarzynie. Pełna radości i pogody, wskazuje na coraz to nowe dziwy wiosenne na łąkach, polach, ścieżynach.

Ulegam. Pęd mię odurza. Oddycham całą pierśią raz poraz, jak duża, wyciągnięta naraz z wody ryba, i zdaje się mi, że to powietrze, które wyrzucam z płuc, musi być wciąż jeszcze czarne od sadzy miejskiej.

Jakże pachnie młodziutką koniczyną i osypującymi się kwiatami wiśni! Pozbadźmy się trapiących trosk i smutnych smuteczków! Oddajmy się ufnie w ręce każdej przygody, mogącej nadarzyć się teraz każdej godziny! Przecież i słońca nawet niema, i nic się właściwie jeszcze nie dzieje — a już wesoło i lekko! Radośnie na duszy i ciele; wesoło w oczach i na wargach — od tej przestrzeni, od kolorowego powietrza, od łaskotliwych pocałunków wiatru!..

Stop. Przybyliśmy. Znowu miasteczko-wieś. Nasza willa. Na bramie, gościnnie rozwartej (dopiero co ktoś tędy przejechał nowiutkimi kołami), stoi wypisane „Old-Nest“ — Stare gniazdo. Zresztą, domu prawie nie widać. Przesłonięty szczelnie wysokim żywopłotem krzewów rododendronowych (całe są w pąkach) i rozrośniętymi tujami.

Cisza. Ani żywej duszy. Pozostawiamy swój bagaż koło bramy, zrzucamy płaszcze, kapelusze (nikt napewno nie ukradnie...) i zapuszczamy się w głąb alei. Nareszcie pierwsza żyjąca istota! Wita nas, zresztą, ze szczeremi oznakami oburzenia, po sekundzie zmienia swą orientację i wpada w istny szał zachwyty z powodu gości, właściwie Katlinki. Kochany

przemily Bonzo! Nic nie wiecie, kim jest? — ależ najrozkoszniejszym „psim synkiem“ na wyspie Albjonu, otaczany tem dziwniejszem uwielbieniem, że w kraju rasowych tylko zwierząt reprezentuje psią familję najbardziej moderne i najmniej rasową. Bonzo jest owocem szalonej miłości buldożki i foksterjera (schocking!) — z tego wynika, że każdy psiak taki jest nieco nieproporcjonalny (czegoś ma za dużo, czegoś za mało) i wygląda nad wyraz pociesznie.

Niepodobna jednak, bawiąc dziś w Anglii (kraj ten posiada licznych faworytów ze świata zwierząt), bodaj przez kilka dni, nie dowiedzieć się, kim jest sir Bonzo. Pełno go wszędzie i pełno o nim wszędzie! To — on — stał się najpopularniejszą ozdobą, upiększającą reklamy wszystkich jadalnych i niejadalnych artykułów pierwszej potrzeby w kraju; on — stał się bohaterem każdej niemal piosenki tandeciarskiej i anegdoty brukowej; on — jest winien wszystkiemu, co się dzieje i dzieć będzie naopak. Jednem słowem: figura!

Rozkoszny psiak wita swoją „good-mother“ (matkę chrzestną) z takim wylaniem, że trudno nie cieszyć się wraz z nim. Odbija się od ścieżki, niczem piłka tenisowa, skacze w sam nos i pragnie narazie wycalować każdą z nas gorącemi, mokremi pocałunkami.

Dzięki też jego sprytowi, zastawszy dom pusty, odnajdujemy wreszcie domowników w głębi ogrodu warzywnego. Tak, to są oni — panowie Jack i George. Ale jakże wyglądają?! Jakże się ustroili, na przybycie eleganckich dam ze stolicy?! Na Bogal.. bez marynarek, skórzane, ogrodowe fartuchy, rękawy koszul zakasane po łokcie, buciory robotnicze... Dokoła motyki, rydło, konewki, sikawki! George — ten, ten wyszapoklakowany na codzień gentleman z city, ten salonowy lew, tańczący charlestona, jak nikt, — robi skok „o rydło“ i jest przy nas, spocony, zdyszany, usmarowany... „Hallo! Hallo!“. Za chwilę nadciąga Jack. Oto są, proszę: wybijający się dyplomata londyński i major wojsk brytyjskich w życiu codziennem: a od święta, na „holy days“, według upodobania: ogrodnik, szofer, rybak, ba! kucharz, lokaj, palacz...

Zaiste, tylko przysłowiowy angielski „common-sense“ pomaga anglosasom do zastosowania się do każdej nadarzającej się sytuacji; tylko chyba ów cenny, zdrowy rozsądek pozwala im łączyć najbardziej zaśniedziałe formy z jaknajdalej idącą treścią każdej sprawy! Powitanie. Ściskamy powalane ziemią dłonie. Najmniejszego zażenowania.

„All right! all right!“ wykrzykuje Kathleen, — „a teraz, dajcie nam zaraz jaką robotę, dajcie nam robotę!..“

„Robotę?“ — otwieram szeroko dziwujące się tu wszystkiemu oczy — „jakżeż to? przecież w gościnę, na nic-robienie przybyliśmy...“

Ale anglicy nie dają mi przyjść do słowa: trzeba robić, tak jak oni. Już mam na sobie podobny fartuch i jakieś trepy, ba! i rękawice. Już klęczę na

ceratowej macie koło klombu i uważnie wyskubuję niepotrzebne trawy z żółtego kobierca bujnie rozrosłych bratków. A obok mnie — pan George, pełen siły i animuszu, kopiąc głęboki dół, w którym spalone będą wszystkie zielska i śmiecie — bawi mię wytworną salonową rozmową. Gorąco. Wesoło. Niesamowicie!

A kiedy pani domu wraca rozpromieniona ostatniem zwycięstwem, z raketami pod pachą, i wjeżdża nam prosto na głowy na swym dwukołowym rumaku — jesteśmy tak przejęci robotą, że świat kończy się za temi grzędami, tyczkami do grochu i awanturującym się Bonzo.

Metalowy dźwięk gongu dolatuje z hallu, a zgrabna miss w białym fartuszku zapewnia nas grzecznie, że podwieczorek już czeka...

Psiak pierwszy porzuca kamyki i śpieszy na ciastka. Zmęczeni, syci powietrza i ruchu, a głodni, jak wilcy — zasiadamy w salonie przy niskich stolikach do sutego, złożonego z niecodziennych przysmaków podwieczorku.

Wśród żartów i nowinek dowiemy się zaraz od przemitych gospodarzy o ściśle ułożonych projektach na resztę soboty — i na jutrzejszą, zapowiadającą się słonecznie — niedzielę.

(Dok. nast.)

Han. Skar



R O Ź A

Zacnie się wkrótce panowanie królowej kwiatów — róży — ozdoby naszych ogrodów, niezastąpionej w wielu użytkach w dziedzinie estetycznej, zdrowotnej i kulinarnej. Kult dla róży, uosabiającej młodość i krasę, datuje od najdawniejszych czasów. W starożytności róża poświęcona była bogini piękna — Afrodycie, a wonnemi płatkami jej koron napełniano poduszki wyrafinowanych kurtyzan greckich. Z listków jednego z gatunków róży, zwanej stulistną, zabarwionej amarantowo, wyrabia się olejek eteryczny, silnie pachnący, otrzymywany przez dystylację płatków róży. W handlu spotyka się najczęściej olejki tureckie z Adrjanopolu i Brussy, — w Europie Bułgarja produkuje najwięcej tego cennego olejku. W czasie kwitnienia róż, pola ich w okolicach Filipopola napełniają powietrze cudowną wonią.

Południowa Francja — Cannes, Grasse — i południowa Anglja zajmują się także tym wonnym wyrobem. Jak wielką ilość róż produkuje Bułgarja, pojmiemy, dowiedziawszy się, że eksportuje ona rocznie do 3.000 kilogramów olejku różanego — kiedy na otrzymanie pół kilo potrzeba 150.000 kilogramów płatków różanych. Olejek różany, bardzo kosztowny i poszukiwany,

dlatego właśnie często bywa fałszowany; jego prawdziwość poznaje się po tem, że czysty, bez domieszek, nie barwi się o 1 stężałego kwasu siarczanego; zawierający zaś obce domieszki, ulega silnemu zabarwieniu. Woda różana najlepsza jest z południowej Francji, gdzie otrzymują ją, jako produkt uboczny, przy wyciąganiu z płatków olejku różanego. Można przyrządzić wodę różaną w domu: w tym celu rozpuszcza się literalnie 3 krople tego drogiego olejku w dużym kieliszku alkoholu i rozbiera się go litrem wody dystylowanej, wlewa w małe buteleczki, szczelnie korkuje i używa do przemywania oczu, dolewa do mycia, a w cukierniczych potrzebach dodaje się dla zapachu do lukrów, pomadek, marcepanów itp. Oprócz wody, robi się jeszcze miodek różany, składający się z olejku różanego, miodu i gliceryny, dobrze go się uciera i używa do smarowania popękanych warg, aftów w ustach u dzieci i przy innych dolegliwościach.

W czasie kwitnienia róż można samej przyrządzić wonną esencję. W tym celu napełnia się gliniane doniczki listkami róż stulistnych, zerwanych koniecznie raniutko, o rosie, zalewa się je wodą i wystawia na działanie promieni słonecznych przez sześć do ośmiu dni. Od trzeciego, lub czwartego dnia na powierzchni wody zaczyna się tworzyć tłusta pianka, którą trzeba delikatnie zbierać cienkim patyczkiem, owiniętym odrobiną waty. — Wyciskać następnie olejek w małych flakoniki ze szczelnie pasującym szklanym korkiem. Z esencją, w ten sposób otrzymaną, postępuje się tak samo, jak z poprzednio opisanym olejkiem: rozpuszcza się kilka kropel w alkoholu, dobiera wodą — odpowiednio rozcieńcza i używa do odświeżania powietrza w mieszkaniu zapomocą pulweryzatora. Przy najwspanialszem nawet umeblowaniu pokoju, jeżeli powietrze w nim jest ciężkie i duszne, a wszystko, co się znajduje, przesiąknięte stęchlizną — nie może być mowy o elegancji. Zadaniem pani domu jest zniszczyć te niemiłe wyziewy i napełnić pokoje zapachem świeżości. — Na pozbycie się kuchennych zapachów, przewietrzenie jadalni, zabicie dymu tytoniowego, odświeżenie powietrza w pokoju chorego — wystarczy otworzenie okien, napalenie zimą w piecu i rozpylenie pulweryzátorem balsamicznej wody leśnej. — Jeżeli jednak chcemy, aby mieszkanie napełniały delikatne, miłe wonie, możemy za przykładem Wschodu — ojczyzny wszelkich kadzideł — urządzić rodzaj ampułki z miseczki aluminiowej, lub niklowej na trzech nóżkach, którą ustawimy na blaszanym trójnóżku, umieszczonym nad lampą naftową, lampką elektryczną, a w ostateczności nad świecą. Na dno nalewamy trochę esencji różanej, własnego wyrobu, dobranej wodą — a miseczka, rozgrzewając się, powoduje parowanie płynu, roztaczającego wokoło subtelny zapach. Tak samo działają listki różane, wsypane w porcelanowe puszcetki, szczelnie zakryte dziurkowanymi pokrywkami, przez które ulatnia się ich delikatny zapach. Do tego zastosowania nadają się najlepiej

listki róży „Maréchal Niel“, pachnące długo po zasuszeniu. Takimi listkami dobrze jest przekładać bieleznię, delikatne chusteczki, eleganckie drobiazgi i papier listowy. Pod poduszki na kanapach, pod dywany i w meble wyściełane możemy pokłaść woreczki gazowe, napełnione suszonymi listkami różanymi, albo saszetki cieniutkie, w które wsuniemy grube kawałki flaneli, nasyconej zapachem róży herbacianej. Do roztaczającego subtelny zapach tła dodajmy wazony i wazoniki, napełnione różnokolorowymi różami, a stworzymy, małym względnie wysiłkiem, otoczenie ze wschodniej bajki.

Zamiłowanie do pachnidłał przejęliśmy ze Wschodu, a zapach róży jest tam ceniony przed innymi.

Oprócz pożytku z płatków róży, o którym wspomniałam, robi się z nich doskonale, wonne konfitury, ogólnie bardzo lubiane. Róża, przyrządzona podług następującego przepisu, jest wysmienita: 40 dkg. liści z dużych kwiatów róż cukrowych oczyścić i uciąć im dolne żółte części; wrzucić w dużą miskę z twarzą wodą źródlaną, do której wlać dwie łyżeczki kwaśnych kropli (zwanych tak w aptekach); niech listki w tej wodzie poleżą, aż się zrobi czerwona. Na tę ilość płatków wziąć kilo i 20 deka cukru — ugotować na zwykły syrop; gdy się odszumuje, wycisnąć różę dobrze z wody, włożyć w syrop i smażyć, srebrną łyżką mieszając ciągle w rondlu, aby się płatki nie skwały. Gdy róża zacznie nabierać przezroczystości, a syrop już będzie gęsty, wcisnąć trzy soczyste cytryny, precedzić sok przez muslin, jeszcze zagotować parę razy; wkońcu wylać konfiturę na głęboką salaterkę i w przewiewnem miejscu przelewać łyżką różę, aż zupełnie ostygną. Od cierpliwego mieszania w chłodnem miejscu zależy ładny wygląd konfitury.

Ponieważ zapach róży w cieście jest ogólnie lubiany, można, aby nie straciła pięknego aromatu, zrobić z niej tartą konfiturę na surowo. W tym celu przygotować różę, jak poprzednio, sparzyć, następnie odcisnąć doskonale rękami, rozskubać i skropić sokiem z cytryny. Gdy nabierze koloru, włożyć do polewanej donicy i ucierać wałkiem z mialkim cukrem, biorąc na 40 dkg. listków 80 dkg. cukru mialkiego. Skoro masa będzie zupełnie gładka — złożyć do słoja i używać do ciasta w miarę potrzeby. Można jeszcze przyrządzać różę suchą, na sposób kijowski. Wziąć 10 dkg. róży oczyszczonej, cukru najlepszego gatunku 1 klg. — utłuc i przesiać. — Różę zakropić sokiem cytrynowym, wycisnąć, aby kwas i zbytnia czerwoność zesły, włożyć do miski porcelanowej lub polewanej i trzeć długo wałkiem. Gdyby była za sucha i nie dawała się wyrobić, dodać parę kropel wody różanej i wycinać foremki, jakie się ma pod ręką. W końcu porozkładać cukierki na talerzach, postawić wysoko do obeschnięcia; układać w słoje, nie zawiązywać, tylko nakryć i trzymać w suchem miejscu. Z innych wyrobów z róży doskonała jest jeszcze galaretka, po połowie z agrestem, i likier różany, na który wziąć 40

dkg. listków różanych, oczyszczonych z żółtych końców, zalać w gąsiorku taką ilością spirytusu, aby były nakryte, i postawić w ciepłym pokoju, byle nie na słońcu, na 6 dni. — Zagotować gęsty syrop z 1½ klg. cukru, wrzucić weń 20 dkg. listków z róży oczyszczonej, sparzonej, odcisniętej i zakropionej cytryną, smażyć 10 minut. W gorący syrop wlać spirytus z butli i zostawić; niech postoi 5 dni. Potem precedzić przez muslin i zlać do butelek. Zakorkować i zostawić na kilka tygodni: im dłużej stoi, tem lepszy. Gdyby kolor był blady — można zabarwić go na różowo paroma kroplami alkiermasu. Przy wyrobach z róży trzeba koniecznie pamiętać, aby starannie oczyszczać końce płatków z żółtych części.

PASZTET NA WYCIECZKI

Na wszelkich dalszych przechadzkach, wycieczkach i t. p. przyjemnie jest mieć ze sobą coś do przegryzienia, byle to „coś“ nie zabierało wiele miejsca, nie wymagało noszenia koszyczków i innych pakunków. Tartynki mają tę wadę, że łatwo obsychają po wierzchu, masło, którem są posmarowane, topnieje w ciepłe i przez papier płami podszewkę kieszeni, lub torebek ręcznych. Wyborne są do zabierania ze sobą małe, mniej więcej ćwierć kilowe pasztety, zajmujące mało miejsca, smaczne i bardzo pożywne. Na sześć takich pasztetów należy zagnieść kruche ciasto z pół kilo mąki, ćwierć kilo tłustego masła lub świeżego szmalcu, jednego jajka i paru łyżek wody. Sześćdziesiąt deka wątróbki cielęcej udusić z czterdziestoma deka przerastającego boczku wieprzowego i trzema dużymi cebulami. Przepuścić przez maszynkę, posolić i popieprzyć do smaku, zmieszać z dwiema bułeczkami wymoczonemi i wyciśniętemi, przepuścić przez maszynkę poraz drugi, wcisnąć sok z pół cytryny, wbić dwa jaja całe, wymieszać dobrze. Ciasto rozdzielić na 6—8 części, rozwałkować jaknajcieniej, nakładać farszu z wątróbki, formować jakby małe, podłużne bochenki, posmarować je żółtkiem i upiec w dobrze gorącym piecu, aby się ładnie zrumieniły. Dobrze zastudzone zawiązać w pergamin.



ZUPA ANGIELSKA

Robi się z główki cielęcej, chcąc jednak, aby była prawdziwie smaczna, należy gotować ją na rosolu z wołowiny. Na pięć do sześciu osób ugotować rosół z 1 kilo wołowiny, dodając dużą marchew, także pietruszkę, kawałek selera, cały por, ze dwie cebule, pieprzu, ziela, listek. W drugim rondlu gotować około kilo główki cielęcej, aż zupełnie od kości odstanie. Smak z główki przelać do rosolu, włoszczyznę odrzucić, rosół sklarować dwoma białkami, rozbitemi z kilku łyżkami tego rosolu, zagotować z białkami na brzegu blachy, precedzić. Do wazy włożyć pokrajaną na zgrabne kawałki główkę, ładnie w paski pokrajaną włoszczyznę, plasterki z pół cytryny bez skórki, dodać kieliszek madery lub białego wina i szczyptę zielonego koperku. Zalać sklarowanym buljonem i podać bardzo gorące na stół. Do tego pasztetiki z mózdzkiem, lub rumiane grzanki z ostrym serem.

IMITACJA MŁODYCH KARTOFLI

Duże kartofle w łupinach namoczyć na całą noc w zimnej wodzie. Na godzinę przed obiadem obrać, wydrążyć z nich specjalną łyżeczką duże kulki, ugotować w dużej ilości osolonej wody, uważając, aby się nie rozgotowały. Odcedzić i natychmiast, aby się nie stały mączyste, polać roztopionem świeżem masłem, posypać obficie zielonym koperkiem, czy pietruszeczką, albo temi zieleninkami razem i zaraz podawać. Cała sztuka ich przyrządzenia polega na tem, aby nie pozwolić im nabrać mączystości, charakteryzującej kartofle stare.

„FRICANDEAU“ Z CIELEĆCINY

Łopatkę cielęcą niedogodnie jest piec w całości, gdyż, dzięki płaskiej kości w środku nieładnie się kraje; lepiej więc z niej zrobić „fricandeau“ w sposób następujący: po wymoczeniu łopatki w wodzie, otrzeć ją zwierzchu, kość starannie wyluzować, mięso rozłożyć płasko na stolnicy, osolić lekko, skropić sokiem cytrynowym, rozłożyć na mięsie paski wędzonej słoniny, odrobinę popieprzyć. Zwinąć mocno w rulon, osznurować, aby się nie rozwijał, naszpikować zewnątrz gęsto wędzoną słoninką. Piec, jak zwykłą pieczeń cielęcą, podlewając narazie masłem, potem trochę wody, a nakoniec sosem, jaki z siebie wypuści. Podawać, jak pieczeń cielęcą, z kartoflami, makaronem, jarzynami sezonowemi i wszelkiego rodzaju sałatami. Kości użyć na zupę zabielałą szczawiową, cytrynową, lub inną.

SMARDZE DUSZONE

Smaczne te pierwsze grzyby zjawiają się zwykle z pierwszym ciepłem; niestety jednak, nie trwają długo. Są ich dwa gatunki: jedno — w kształcie aksaminowego, brunatnego krzaczką, drugie — stożkowate na białej nóżce. Te drugie uchodzą za lepsze. Jednak, jak jedno, tak i drugie, umiejętnie przyrządzone, są bardzo smaczne. Oczyszczyć je starannie z mchu i ziemi, pokrajać na cząstki, spławić w obfitej wodzie, aby resztki ziemi w niej pozostały; sparzyć wrzącą wodą, potrzymać w niej pięć minut, odcedzić na durszlak lub sito, potrzymać tak z dziesięć minut, aby dobrze osiały z wody. Na pół kilo smardzów zasmażyć w łyżce masła sporą cebulę, drobno pokrajaną, włożyć smardze, przykryć pokrywą, dusić minut dziesięć, osolić do smaku, popieprzyć nieco. Łyżkę mąki pszennej rozbić w szklance kwaśnej śmietany, wlać do grzybów, raz tylko zagotować i podawać z kartoflami z wody, lub przysmażonemi grzankami z bułki. Mogą też służyć za garnitur do mięsa.

SZARLOTKA Z RABARBARUM

Zagnieść ciasto z sześćdziesięciu deka mąki, dwudziestu deka cukru i trzydziestu deka świeżego szmalcu, lub tłustego masła, dodając tyle wody lub śmietany, aby ciasto dało się rozwałkować. Kruche- go ciasta nie należy nigdy wyrabiać zbyt długo: robi się przez to twarde i spoiste. Rozdzielić ciasto na dwie nierówne części. Jedną, większą, wyłożyć dno i boki niegłębokiej foremki, drugą — zachować. Pół kilo rabarbaru, już oczyszczonego z włókien, pokra- jać w niedużą kostkę, zmieszać z 25 deka cukru, na- łożyć do ciasta, pokryć resztą tego ciasta, bardzo dokładnie zasklepić, posmarować żółtkiem, posypać grubym kryształem, nakłuć grubym widelcem, aby para wychodziła i ciasto nie odwilgło. Upiec w do- syć gorącym piecu, wyłożyć z formy na półmisek, przykryć na kwadrans złożoną w kilkoro serwetą; podawać na gorąco lub na zimno.

Pani Elżbieta.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczanych w Do- datku Mód, dostarczamy po cenach następujących:
 palto, lub suknia fantazyjna zł. 3.50
 suknia zwyczajna „ 2.50
 bluzka „ 2.00
 formy dzieciinne „ 2.00
 bielizna „ 1.50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w do- datku mód i robót, mogą być dostarczone w wiel- kości naturalnej po cenach następujących:
 obrus — makata — ekran — zł. 1,50, poduszka — serwetka — zł. 1., drobne desenie — gr. 50.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wy- mienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczone w „Bluszczu“, nie wy- syłamy

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych lub przekazem.

DOBRE RADY

Jeżeli spostrzeżemy mole w dywanach, trzeba położyć na uszkodzonym miejscu kawałek mokrego, dobrze wyżętego płótna i prasować gorącym żela- zem, aż do wysuszenia płótna. Gorąco i para zniszczą jajka i zarodki moli, a dywan nic na tem nie straci.

* * *

Stwardniałym skórom można przywrócić elastycz- ność, smarując je olejem rycynowym. Olej trzeba roz- grzać i wcierać go mocno miękkim gałgankiem, uwa- żając, aby nie brać za wiele naraz. Tak natarte skóry trzeba wystawić na świeże powietrze, żeby straciły niemiły odór.

Uniwersytecka Szkoła Pielęgniarek i Higienistek w Krakowie otwiera nowy kurs d. 1 września b. r. Nauka trwa 2 lata. Przyjmuje się tylko internistki. Wykształcenie conajmniej 6 klas gimnazjalnych lub równorzędne. Zgłoszenia: Dyrekcja Uniwersyteckiej Szkoły Pielęgniarek i Higienistek—Kraków, Kopernika 23.

„Jak kupuje dobra gospodyni“

NAUKA PRAKTYCZNEGO I RACJONALNEGO ROBIENIA ZAKUPÓW

Cena 1 zł. 50 gr. z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, War- szawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych. Za zaliczeniem nie wysyłamy.

LABORATORJUM HIGJENICZNYCH KOSMETYKÓW

podług przepisów Dr. J. ŚWITALSKIEJ

Płyn na wzmocnienie włosów. Jajeczka do mycia włosów. Galaretka na łupież. „Mój krem“ przeciw zmarszczkom. „Mój puder“, Krem cy- trynowy. Krem pomarańczowy. Galaretka na rozszerzenie porów i łojotok. Perełki do pielęgnacji twarzy i biustu. Maść przeciw odmrożeniom. Mydła cytrynowe, poziomkowe, liljowe, ziołowe i po- marańczowe. Róże higieniczne. Maski na twarz. Maść na piegi. Krem śmietankowy suchy. Krem orzechowy na opalenie się.

HIGJENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

Na prowincję wysyłka za zaliczeniem.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocz- nie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr. Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“—Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O.—Warszawa 3700.

Wszelkie reklamacje załatwia Ekspedycja „Bluszczu“ — Górnośląska 19, tel. 244-75.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW

Redakcja i Admiaistracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rymarska 8, tel. 244-18.